№ 50. Warszawa, dnia 20 Listopada (12 Grudnia) 1874 roku.



I POWIEŚCI,

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia Nr 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Treść Numeru:

FEJLETONISTA,

PRZEZ

JANA PANAJEWA

Przekład z rosyjskiego *).

I.

Dzieje młodości człowieka zwanego dzisiejszym fejletonistą, który ma siebie za wielkość nad wielkościami, to dzieje wielu z młodzieży obecnych czasów, będących sam nie wiem, czy przedświtem czy zmrokiem jakiejś nowej idei, mającej ludzkość całą na nowe wepchnąć drogi. Przypatrzmy się jednemu z nich bliżej mi znanemu.

Przyszedł na świat jak każdy zwyczajny śmiertelnik, kwilił, płakał, potem wrzeszczał, nie dał w domu spać nikomu a gdy jeść zaczął zapychano go przysmaczkami bez końca. Po kilku latach zaczął biegać po dworze, kłucić się ze służącemi, bawić z dziećmi, psuć wszystko czego się dotknął, ciąć nożyczkami kołdry i pokrowce, nowe lub świeże ubranie brukać i dziurawić w jednej chwili, słowem był utrapieniem wszystkich domowników a dla rodzicielskiej kieszeni plagą coraz straszniej występującą. Mimo tego chłopiec od niechcenia, kiedy niekiedy zajmował się nauką, klepaniem słów francuzkich, brzdąkaniem na fortepianie, tresowaniem tanecznem, i rosnąc tak jak pączek w maśle, pieszczony, cacany i chuchany, dorósł wreszcie do lat dwunastu to jest do chwili w której rodzice przyszli do przekonania, że dryblasa co już zerka oczyma i w prawo i w lewo, trzeba na gwałt wywieść do szkoły do Moskwy, bo inaczej wyrośnie na topolę co i cieniu i owocu z siebie nie daje.

W szkołach uczył się wszystkiego po trochu czyli właściwie niczego, znał wiele tytułów nauk ale nic więcej a przynajmniej niewiele: umiał rozprawiać o wielu rzeczach a w szczególności o niczem, a przytem kryjąc się po ławkach szkolnych czytał powieści pani Cottin, de Genlis, Sanda i. t. d. przekładając zawsze z pieprzną przyprawą nad przesłodzone karmelkiem nudnej moralności.

To go rozpaliwszy obudziło w nim pragnienie sławy autorskiej, a ukłuty jak dzielny rumak ostrogą pochwałą nauczyciela literatury za ćwiczenie na zadany temat, w chwilach wolnych zaczął pisać potajemnie dumki, westchnienia, ody, kryjąc je starannie przed kolegami jako niegodnemi tajemnic jego bolejącego ducha i porywów poetycznego zapału.

Raz gdy tak w gorączkowem uniesieniu siedział zamyślony nad arkuszem papieru, gryzł pióro, kręcił głową, wzdychał i mruczał coś między zębami, jeden z kolegów cichaczem podsunąwszy się porwał mu papier z wierszem świeżo rozpoczętym. Przyszły nasz fejletonista z oburzeniem rzucił się na towarzysza.

Nadaremnie! ciekawy koleżka odepchnął go i uniósł pochwyconą zdobycz.

Po chwili wszyscy z nim mieszkający rówiennicy otoczyli pisarza wołając i klaszcząc w ręce:

— Ho, ho! autor! autor! literat! daj go katu, toż to teraz zacznie nosa zadzierać do góry.

Przepowiednia spełniła się, nos poszedł w górę, koledzy ciągle go nazywali z szyderstwem poetą a genjusz przyszły posądzając ich o zazdrość jeszcze więcej niż dawniej zamyślał się, patrzył w niebo, zapalał się chwilami i pisał bez przerwy, czem wreszcie prześladowców zmusił do milczenia.

Oddany tak poważnej i pożytecznej pracy, w siedemnastym roku zaczął układać plan wydawania dla uczniów dziennika na wzór tych jakie czytywał.

Przez dwa tygodnie obmyślał tytuł i rysował winetę tytułową, a potem zabrał się do przysposobienia powieści, poezyi i krytyki, które razem w zbiorze swoim miały wskazać ludziom zupełnie nowe drogi postępowania. Ale w powieści nie mógł jakoś dać sobie rady ze stylem i z intrygą, w poezyi znów z rymami, porzucił je więc a sam wziął się do krytyki burzącej wszystko z kretesem, a choć w niej nie było ani ładu ani składu a sensu brakło zupełnie, powiedział jednak sobie że wyraźnie urodził się na krytyka, bo nie zważając na nic, rąbie prawdę z całem poczuciem swojej krytycznej godności.

Jakaż to chluba być autorem. jakże przyjemnie widzieć wydrukowany własny utwór swej wyobraźni i potem słyszeć pochwały. Wśród przyjemnych tych marzeń, pisarz nasz z zapałem zabrał się do ułożenia dziennika: po upływie dwóch miesięcy pismo już było między kolegami.

Czytali je, chwalili, podziwiali a redaktor podrastał i we własnem przekonaniu stał się olbrzymem.

Skończywszy szkoły przeszedł na uniwersytet. Zaczął więc nosić wykładane kołnierzyki, przewiązywał z fantazyą krawatkę; chodził po wszystkich

*) Szkic ten z wielkim humorem, życiem i prawdą napisany, pomieszczamy w Tygodniku tak dla poznajomienia bliższego z utalentowanym pisarzem rosyjskim panem Janem Panajewem, jak i dla przestrogi młodych ludzi co zdolności swe niszczą z wielką szkodą kraju, mogąc je w stałem jakiem zajęciu użyteczniej spożytkować. Gorączka sławy, chęć prędkiego zarobku i uniknienia mozołów, wszelki inny stały zawód poprzedzających, czyli jednem słowem zarozumienie, pycha i próżniactwo, głównym tego powodem. Giną też ich liczne szeregi tak w Petersburgu, Moskwie jak i w Warszawie, a szkoda ich, wielka szkoda, marnotrawstwo to najżywotniejszych sił społecznych nie opłacone niczem. Fejletoniści wprawdzie są użyteczni ale rzeczywistym obdarzeni talentem, a ten posiadają wybrane jedyne jednostki zwykle z zawodu innego przenoszący się do dziennikarstwa. U nas przeciwnie się dzieje, dziennikarstwo obierane jest jak każdy inny zawód chlebodajny; idą więc do niego poświęceni i niepoświęceni, a tych ostatnich jaki koniec i jaki przebieg ich życia pan Panajew wybornie przedstawia. Daj Boże aby szkic ten prawdziwy nieprzemknął się bez korzyści.

Redakcya.

ulicach w Moskwie, bywał w cukierniach, i zdawało mu się, iż świat szerzej się przed nim otworzył; ileż ułudy, marzeń i pokus. Z kolei zaczął bywać w teatrze w rozmaitych towarzystwach, pić wino i coraz więcej czytać pism i powieści...

Po upływie roku przeszedł na drugi kurs. Fizognomya jego coraz więcej nabierała poważniejszego wyrazu, założył binokle, nauczył się nucić różne piosenki i wyjątki z oper, a co najważniejsza stanowczo rozstrzygać największe zagadnienia ludzkości, wyszydzając dotąd uznane i głoszone. Słuchanie jednak kursów zaczęło go nudzić, coraz więc więcej czasu poświecał czytaniu francuzkich romansów i marzeniu o życiu literackiem, o autorstwie i powieściach, które miał zamiar drukować w pismach. Mając też już przygotowany spory zapas rękopismów pomyślał o przesłaniu ich redaktorom. Wszak wiersze moje są niezłe, myślał sobie, przekład gładki... czemuż nie mam podać go do druku... Nie zastanawiając się dłużej, odesłał rękopisma.

Od tej chwili opanował go niepokój oczekiwania: wydrukowania powieści wyglądał z drżeniem i biciem serca a gdy wyszła... potrącając i rozpychając przechodniów biegł do ksiegarni, zapomniał nawet binokli a po zarumienionej twarzy płynęły krople potu i zaledwie oddychał z pośpiechu

— Proszę o... chciałbym zobaczyć... nowo wyszłą książkę... zawołał wbiegając do księgarni.

Drżącemi rękami ujął podaną książkę, pierwszą na której było wydrukowane jego imię i nazwisko! Z jakąż rozkoszą patrzył na litery, przerzucał karty od początku do końca!

Biedny fejletonista nie wiedział że jest tylko wyzyskiwaną ofiarą redaktora, i że do tego doprowadziła go jedynie żądza sławy i chęci rozgłosu!

Po niejakim czasie wyszedł z księgarni z rozpłomienioną twarzą; od tej chwili uważał się za znakomitego literata, a witając się z jednym ze swoich krewnych, który z Charkowa przyjechał do Moskwy rzekł z dumą:

— Moj drogi, zarzucony jestem dziełami do przekładu, jestem głównym współpracownikiem dziennika NN. i nie mam prawie chwili wolnego czasu.

„— Brawo! winszuję! w przyszłości dorównasz może Puszkinowi, czego ci życzę z całego serca.

Młody człowiek zachwycony pochwałą, serdecznie uściskał kuzyna i pobiegł do redakcyi, chcąc rzeczywiście zaliczyć się do współpracowników.

Redaktor przyjął go bardzo chłodno, lecz skoro tylko przedstawił mu, iż z ochotą pracować będzie nie żądając zupełnie wynagrodzenia, poważna i chłodna fizonomja redaktora rozjaśniła się niezmiernie.

— Bezpłatnie!... pomyślał sobie: o! to zmienia postać rzeczy! Ten młody człowiek musi mieć zdolności, to widać z jego twarzy! Bardzo lubię takich zapalonych nowicyuszów. Rzeczywiście, tłomaczenie jego jest staranne, ma wiele zapału, trzeba go protegować.

Redaktor zaczął rozmyślać nad sposobem pozbycia się dotychczasowego tłomacza, któremu musiał płacić 20 rs; za arkusz druku i zwracając się z milutkim uśmiechem do naszego bohatera, rzekł:

— Może pan pozwoli cygaro, albo papierosa? Artykuł ten przyjmuję i z przyjemnością witam w panu nowego współpracownika! Niechże pan siada, wtej chwili jestem wolny od zajęć, zapal cygaro, porozmawiamy z sobą, poznamy się bliżej.

Przyszły fejletonista obejrzał się po redakcyjnym pokoju, w którym, podług jego mniemania, mogli przesiadywać tylko ludzie z wyższem wykształceniem, utalentowani, genijusze! Stosy rękopismów, książek, gazet i dzienników francuzkich, niemieckich, ruskich, porozkładane były na półkach i na stolikach. Niektóre z nich pokryte były grubą warstwą kurzu: arkusze korekt rozrzucone były pod stołem, oprócz krzesełek i stolików nie widać było innych mebli, a jednak dla naszego bohatera pokój ten wydał się pełnym poważnej tajemniczości, a Redaktor puszczający z ust kłęby dymu, wszechwładnym sędzią, od wyroku którego zależała nieśmiertelna sława i rozgłos na kraj cały lub odtrącenie w przepaść zapomnienia. Słuchając rozmowy pełnej uniesień nad wydawanym dziennikiem, nad wyborowemi artykułami i t. p. początkujący literat nie tylko gotów był pracować bezpłatnie, ale nawet uważał za zaszczyt, iż policzono go do rzędu współpracowników...

Po kilku latach bohater nasz ze studenta został kandydatem. Ojciec jego umarł, matka dawno już przeniosła się do wieczności, sprzedał więc posiadłość rodziców, i po skończeniu wszelkich rachunków, pozostało mu 5000 rs. całego majątku.

W parę dni potem siedział w swoim kawalerskim pokoju, z owym kuzynem, który kiedyś winszował mu świetnej przyszłości literackiej. Notatki z kursami uniwersyteckiemi porozrzucane leżały na stole i na podłodze, na stole stało pudełko z cygarami, papierosy i butelka szampańskiego wina.

— Trącmy się — mon chér! Już ja teraz nie pozwolę z siebie żartować; jestem już kandydatem, wcale nie stoję niżej od ciebie!

— Trącmy się, kochanku! zawołał z westchnieniem dymisyonowany oficer. Co tam honory i stopnie, one szczęścia nie dają! Swoboda to najwięcej znaczy! A gdy... oficer znów westchnął i machnął ręką. Nie żeń się nigdy, Piotrze, radzę ci, nie żeń się, mój drogi... Napisz jaki artykuł przeciw żenieniu się. Doprawdy napisz... już ja ci za to pierwszy serdecznie podziękuję!

Nowemu kandydatowi było bardzo do twarzy w mundurze i w jasnym krawacie przepiętej świecącą zapinką. Pokoik kawalerski dostał nowe mebelki; na ścianach zawisły portrety wielkich ludzi i sławnych autorów. Na półeczkach widać srebrną cukierniczkę, po niżej książki ładnie oprawne, a między niemi album do zapisywania wierszy, otrzymany od jakiejś kuzynki, na którego różowej okładce, srebrną nitką wyszyte jest: souvenir... Kandydat siedzi przy biurku i pisze artykuł, pod tytułem: *„Poezya w teoryi i w praktyce!"*

Zwykle niemajętni kandydaci zaczynają swoją karyerę od dawania lekcyi; nasz bohater został także nauczycielem.

Rodzice których dzieciom dawał lekcye, bardzo zadowoleni byli z jego wykładu, akuratności i pilności. Pochwały o nim rozeszły się po Moskwie, zaczęto go poszukiwać, za godzinę lekcyi dziennie, płacono mu po 20 rs. na miesiąc. Życie szło mu dość lekko i wesoło; zaprzyjaźnił się z młodzieżą, chodził do pierwszych restauracyi na obiady, wieczorami u znajomych grywał w karty; bywał na wieczorach, a w teatrze nie opuścił ani jednego przedstawienia, jeśli tylko w tragedyi występował Mocałów.

Pieniądze wychodziły szybko, aż w końcu młody człowiek obliczył się, że na takie życie jakie prowadzi, nie może mu już wystarczyć.

— Nie będę więcej ani jednego wiersza pisać darmo do dzienników! pomyślał sobie. Ja także potrzebuję żyć i używać!

— W swoim czasie zawitała i *miłość idealna*. Jakżeby żyć bez miłości? Bohater nasz zakochał się w jakiejś pannie, wzdychał, pisał wiersze *„do niej,"* marzył o tej co wykradła mu serce.

Dymisyonowany oficer, zastawszy go raz zadumanego, trącił go w ramię i zawołał:

— Cóż to, marzycielu! Oj bratku, trzymaj się ostro, bo ani się spodziejesz, jak zostaniesz złapanym. W rzeczywistości jednak młody człowiek nie potrzebował ostrzeżeń. Zakochał się dla tego, aby mógł pisać czułe wiersze *„Do niej"* ale ożenienie wcale mu w myśli nie postało, tylko na gwałt zapragnął zostać redaktorem jakiej gazety, lub jakiegokolwiek wydawnictwa. Co to za rozkosz! Chociaż nie miał nadziei dostać pozwolenia, chociaż nie posiadał potrzebnego kapitału, nie zważał na to i ciągle układał programy, prospekta, tytuły i t. p. a zaniedbywał korzystniejsze czynności i opuszczał dawanie lekcyi.

W Moskwie coraz szło mu trudniej, życie wydawało się coraz nudniejszem. Nie było w niej wiele pism, nie potrzebowano fejletonów, wreszcie publiczność nie lubiła lekkiej literatury... Petersburg, to mi rzecz! To raj dla literatów i wydawców. Tam to zdolni ludzie pracując na polu literackiem mogą zbierać wielkie kapitały, chlubić się sławą, bo czegoż tam nie ma?

Oto urywek z listu, jaki autor *Poezyi w teoryi i w praktyce*, otrzymał od swego przyjaciela, literata w Petersburgu.

— Wasza Moskwa, mój Piotrze, w porównaniu z Petersburgiem nie zasługuje nawet na nazwisko wioski! Po co ty pracujesz bez wynagrodzenia i bez sławy w moskiewskich pismach, o których my tu prawie nie wiemy.

Jestem pewny, iż tam nie otrzymasz więcej, nad 25 rs. za arkusz oryginalnej powieści; po roku pracy może masz 200 rs. dochodu, tutaj zaś każdy korektor ma 4000 rs. rocznie.

Co do mnie, muszę ci donieść, iż oprócz pensyi, jaką pobieram rocznie, mam jeszcze i różne niewinne dochody; wszyscy cukiernicy mnie znają, mogę chodzić do cukierni i jeść ile mi się podoba. To też włóczę się prawie po całych dniach, wszyscy mnie częstują i kupcy i aktorzy i wojskowi. Jednem słowem, tutaj jest istny raj ziemski... Oświata w Petersburgu rozszerzyła się we wszystkich klasach; gdy spaceruję po Newskim prospekcie, to przechodzący mówią o mnie: oto idzie fejletonista gazety tej i tej...

Czy też ukończyłeś już wodewil, zaczęty przeszłego roku?

Ja właśnie obecnie nad niemi pracuję i t. d.

Przeczytawszy list ten bohater nasz zawołał z zapałem.

— Muszę jechać do Petersburga! Mam tam przyjaciół literatów, zejdę się z nimi, będziemy wspólnie pracować i dorobimy się majątku. Dopiero to będę używał! ekwipaże, konie, służbę muszę mieć liczną, przytem jeszcze postaram się o jaką korzystną posadę. W Petersburgu nie można nie mieć posady... Pieniądze — pieniędzmi a urząd — urzędem. Jedno drugiemu nie zawadza... Będę należał do najsumienniejszej partyi literackiej...

Wiadomo bowiem, że ruscy literaci dzielą się na partye, a skutkiem tego podobno i czytająca publiczność równie jest podzielona.

II.

Oto odpis jaki nasz bohater przesłał swemu przyjacielowi na list od niego odebrany.

— Rzecz już postanowiona, duszo moja, jadę do Petersburga. Meble sprzedałem nie chcąc mieć kłopotu z przewożeniem. Bądź łaskaw wyszukać dla mnie mieszkania, mon chér, tobie przyjdzie to z łatwością gdyż znasz wszystkie ulice Petersburga. Zobowiązałem się z A** na bardzo korzystnych warunkach. Fejleton gazety będzie całkowicie do mnie należał. Jeden z moich przyjaciół wystarał się dla mnie o miejsce w departamencie. Pensya, jaką mi przeznaczono, wystarczy na życie, nawet raz w miesiąc będę mógł sobie pohulać. Zresztą niech się tylko dostanę do Petersburga, to pieniądze będą mi

upłyąć jak woda. Przywiozę z sobą trzy gotowe wodewile, przetłomaczone z francuzkiego i puszczę je na Petersburską scenę! W krotochwilach tych niektóre zwrotki są zachwycające...

Mam nadzieję, że chociaż jesteśmy feljetonistami dwóch przeciwnych sobie gazet, to jednak i nadal pozostaną między nami przyjazne stosunki.

Zamyślam także, kochanku, wziąść się do przekładu Szekspira, wierszem. Warto poznajomić publiczność naszą z tym wielkim pisarzem; wiesz zapewne, że ja zawsze byłem jego zwolennikiem, mon chér. Zresztą dokonawszy wierszem przekładu Szekspira, można odrazu wyrobić sobie rozgłośne imię: Ah! do Petersburga! do Petersburga. Adieu. Ja twój whilst this machine is to him, jak powiedział Hamlet.

Przyjechawszy do Petersburga, fejletonista nasz fryzował się u Fagego, kupił krawat u Czurkina, czapkę u Falejewa, ubrał się w popielaty garnitur, kupiony w magazynie pod firmą: Au Journal i poszedł spacerować po Newskim Prospekcie. W nowem ubraniu przedstawiał się bardzo dobrze.

Debiuty feljetonisty świetne — naśladuje on lekki i dowcipny styl Janin'a. Oto wyjątek z nich „Najbardziej zachwycająca, najbardziej upadająca, najnowsza a jednocześnie przytem najstarsza w Petersburgu nowość... jesień!... O! tak... jesień, błotna, chłodna, zimna, bez słoneczna, z pochmurnem niebem, z ponuremi dniami, z ciemnemi nocami...“

W letnim ogrodzie smutno; żółte liście zaściełają ulice, jak kawałki podartego papieru podłogę w gabinecie literata, lub jak rozrzucone papiloty w buduarze elegantki; spacerujących już nie widać. Letni ogród na wiosnę lub w jesieni jakaż niezmierna różnica! Jakby chciano porównać słońce z ciemnością, dzień z nocą, uśmiech ze łzami.

Wielu skarży się na klimat Petersburgski, a jednak wiadomo przecież, że już w miesiącu Kwietniu w letnim ogrodzie kwitną cudne róże, okazałe, rozkoszne, upajające wonią; wśród tych róż widać lilje delikatne, przezroczyste, bielsze od kararyjskiego marmuru, jaśniejsze od śniegu oświetlonego słońcem!

Fejletonista objął posadę w departamencie, wziął się do służby z wielkim zapałem, pierwszy zasiadał do roboty, wychodził ostatni. Naczelnik wydziału był z niego niezmiernie zadowolony, często odzywał się o nim z wielkiemi pochwałami:

— Jest to urzędnik niezmiernie pracowity i gorliwy, jeźli pozostanie takim i nadal, to napewno można mu wróżyć że z czasem zajdzie daleko i wysokie zajmie stanowisko!

Niestety! bohater nasz zawiódł nadzieje swego naczelnika... Po kilku miesiącach służba zaczęła go nudzić, opuszczał dnie, a gdy naczelnik robił mu wymówki, wziął dymisyę i opuścił służbę.

— Wziąłem dymisyę dla tego, tłomaczył się jednemu ze znajomych, abym mógł z całą swobodą zająć się literaturą.

Aleksandryjski teatr wcale nie spodobał się Fejletoniście, jednak nie opuszczał żadnego przedstawienia, zapewniając z naciskiem, iż musi uczęszczać tam z obowiązku: aktorzy nie zadawalniali go, jednakże zapoznał się ze wszystkiemi a z wieloma żył w przyjaźni, bo nie tylko opisywał zakulisowe intrygi, ale osobiście przyjmował w nich udział. O takich intrygach wspominał w każdem sprawozdaniu teatralnem, mimo to wybierał zwykle jednego aktora z którym nigdy nie mógł się zgodzić i jedną aktorkę na którą obrażony był bardzo jego przyjaciel, i piorunował na nich, niby z powodu ich w grze zaniedbania. Wyśmiewał się przytem z publiki uczęszczającej do Aleksandryjskiego teatru, a jednak większa połowa parteru byli to jego przyjaciele.

d. n.

KRONIKA ZAGRANICZNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Najtrudniejszy początek. — Frak i surdut. — Jesień na pustyni. — Książka gościem. — Historya jednej pani i jednej powieści. — Historya Św. Cecylii i społeczeństwa rzymskiego w pierwszych dwu wiekach, przez Don. Gueranger. — Co kosztują książki i inne rzeczy. — Włochy illustrowane. — Roboty kobiece i przemysł domowy na wystawie Wiedeńskiej, przez panią Aglaë von Enderes. — Roboty kobiece: Perskie, Japońskie, Chińskie i Indyjskie.— O różnych haftach i wzorkach. — Nasze ręczniki i koszule. — Muzea etnograficzne. — Panna Mezdorf, konserwatorka Muzeum. — Panna Luiza Büchner historyografka niemiec. — Romans pani Henrietty Paalzow. — Doktorki: panna Symonowicz, panna Szhlözer, panna Kowalewska i Panna Schurmann. — Dwa słowa o kwestyi kobiecej.

Dokończenie).

Wystawa Japońska obfita i urozmaicona, pierwszy może raz ten kraj mało znany Europie, dawała poznać bliżej i lepiej. W charakterze wszystkich wyrobów i ornamentacyi japońskiej ogromna okazała się różnica, od innych krajów Wschodu. Mieliśmy zręczność sami to sprawdzić na wystawie. U Japończyków wszystko jest w ruchu, jakiś niepokój i jakby gwałtowny prąd unosi przedmioty. Drzewami wiatr miota, ptaki lecą, smok rozpościera skrzydła, chmury podarte widocznie podróżują po niebie, morze kipi i wre falami. W tym stylu są wszelkie ozdoby, bronzy, rzeźby, a nawet szycia i hafty. Perskich kwiatów spokojnie poplątanych i uśpionych nie widać tu... zastępuje je świat żywy, sceny, krajobrazy, ludzie i zwierzęta.

Na japońskich materyach jedwabnych gałęzie są roznamiętnione, wiją się w kapryśnych kształtach jakby z szarego tła pouciekać chciały. Całe dramata przedstawia kawałek atłasu. Osobami w niem występującemi są jaszczurki, motyle, węże, smoki, koniki i poważne otyłe żaby. Zdaje się je widzieć i słyszeć jak z sobą wiodą po japońsku rozmowę.

Równie jak kształty — kolory też niespokojnie się względem siebie znajdują... Takie same dramata przedstawiają wachlarze, porcelana i malowania na papierkach, których trudno od tkania rozpoznać. Pani Aglaë chwali bardzo zabawki dziecinne i lalki z dużemi oczami oryginalne — myśmy żywe takie oczy widzieli, ale lalki gdzieś były ukryte.

W kątku wystawy japończyk i japonka na dwóch warsztatach bardzo pierwotnych, robili jakąś tkaninę z czarnej włosieni i złota.

Przemysł Chiński charakterem bardzo jest podobny do Japońskiego i równie jak on odznacza się pracowitem i niezmiernie starannem wykończeniem: motywa ornamentacyi też same, ludzie, zwierzęta, rośliny w najlepszej z sobą komitywie i równie fantastyczni jedni jak drugie. Znawcy tylko upatrywali w kolorycie chińskim więcej jeszcze żywości. Szyte w smoki karmazynowe ze złotem i w ogromne kwiaty suknie, były przepyszne. Haft płaski i na tamburku (szmuńkowy?), rozróżnia autorka w pracach chińskich pań, ale pierwszemu przyznaje że jest u nich do najwyższej doprowadzony doskonałości; nici rodzić się zdają z niczego i znikać bez śladu, łącząc w różnobarwną mozajkę.

Na szalach, wachlarzach, parasolach główną zwykle rolę gra wielkie drzewo z pokrzywionemi dziwacznie gałęziami, stojące nad wodą, obok niego kamienie i kwiaty, ptaki, owady najczęściej fantazyjne i jaskrawe kury, bażanty i rajskie ptaki; tło często purpurowe. Pani Aglaë wspomina też o ozdobach stroju kobiecego osobliwych, o robionych kwiatach ze słomy i kawałków materyi, z kawałeczkami zwierciadełek w kielichach, o bardzo brzydkich spięciach, iglicach i t. p. W tem wszystkiem smak... w rodzaju niemieckiego. Płacą za to hafty, które zdawały się życie kosztować tak są delikatne i wykończone. Autorka przenosi je nad japońskie. Zachwycającą wydała się jej wystawa Indyjska. Wyroby lubilerskie ze srebra i złota nadzwyczaj piękne, świadczą że ten przemysł od lat tysiąca tu doskonalony, ma swe tradycye i z najwykwintniejszym europejskim o lepszą współubiegać się może. Wyrobów tych była rozmaitość wielka, pierścienie na ręce i na nogi, bransolety na ręce i na nogi także, naramienniki, pasy, naszyjniki, łańcuchy, diademy, kolczyki do uszu i... do nosa, wysadzane kamieniami drogiemi. Część tych pięknych wyrobów była z mosiądzu tylko i szkiełek. Równie pięknemi miały być tkaniny indyjskie, kobierce, białe sukna na turbany (zawoje), materye przetykane złotem na suknie. Nie mamy potrzeby mówić o kaszmirach, aby nie sprawiać pokusy. Szycia nieustępowały (tamburkową robotą) wspomnianym wyżej. Na niektórych szalach najosobliwsze światy całe. Kobiety, mężczyzni, jeźdzcy na karmazynowych koniach, zielone owce, niebieskie tygrysy i t. p. Całe procesye postaci, całe dwory nabobów z parasolami, służbą i dworem. Fantazya dziecinna, śmiała, nie wstydząca się wcale tego, że naturę na swój sposób przerabia.

Pani Aglaë wychwala niezmiernie jedną robotę, na grubem, białem suknie, delikatnemi arabeskami przesnutą całą, po których wiją się jaskrawe gałęzie kaktusów i rozkwitłych maków. Miało to przepysznie i dziwnie bardzo odznaczać się wśród innych jeszcze, pomysłem i wykonaniem.

Bardzo też piękne być miały hafty złotem na gazie i przejrzystych zasłonach. U drzwi indyjskiej wystawy uderzały dwie figury ubrane przepysznie. Nabob w kiecie z jedwabnej sukni całej od złota i pani Nabobowa w stroju świątecznym, w sukni z grubej materyi jedwabn-j, w kurteczce, w zasłonach szytych w gwiazdy, w srebrne prążki i paski jedwabne. U pasa sznury i kwasty bogate; bramowanie z pereł, klejnotami okryte ręce, szyja, nogi... gdziekolwiek je umieścić było podobna.

Paski jakich używają kobiety indyjskie, są z miękkiej tkanki jedwabnej białej z różowem, a na niej naszywane są wisidełka i ozdoby bogate.

Lecz — odpocznijmy, złoto i jedwab olśniły nas.

Przyznam się że czerwonemi nićmi szale misternie szyte na Rusi, rękawy koszul i ręczniki, więcej mnie interesują, niż te blaszki i strzępki z nad Gangesu. Na wystawie były też z Rusi halickiej tego rodzaju wyroby, których desenie powtarzające się od wieków, sięgają może starożytnością czasów pogańskich, i coś wschodniego w charakterze mają.

W wielu stolicach teraz, jak w Kopenhadze i Stockholmie potworzono bardzo ciekawe etnograficzne muzea, w których widzieć można wieśniaków w ich strojach tradycyjnych i wszystek sprzęt odwieczny jakiego używać nawykli. W Szwecyi te stroje narodowe, między któremi najsłynniejsze są dalekarlijskie, dochowały się dotąd, a że szczęśliwy ten kraj nie podlegał najazdom i wojnom, w zamożniejszych domach wieśniaczych, od wieków ma w poszanowaniu utrzymywane srebrne klejnoty, łyżki, ozdobne pasy, krzyże, które dziś do najciekawszych należą zabytków.

Niczem dziś już dziwnem, spotkać kobiecą pracę tam gdzie dawniej ukazać się nie miała prawa. Na kongresie w Stokholmie w śród pań, które się rozprawom przysłuchiwały przez ciekawość, była i jedna panna Konserwatorka Muzeum w Kiel, (panna Mezdorf) — znana ze swych archeologicznych pism i zajmująca się czynnie tym przedmiotem.— Wydała ona

między innemi sprawozdanie w języku niemieckim, z przedostatniego, w Bolonii kongresu. W Niemczech piszących pań w różnych przedmiotach jest moc nieskończona, a oto zapowiadają nam „Historyą Niemiec od r. 1815 do 1870“ przez pannę Luizę Büchner, siostrę słynnego materyalisty Büchnera. Obudza ona ciekawość, chociaż po części znaną być musi tym co słuchali odczytów autorki w Alice-Lyceum w Darmstadzie (dwudziestu). Na dzieło historyczne przez kobietę napisane krytyka wyczekuje z pewną nieufnością i niedowierzaniem, lecz dlaczegóżby panna Büchner mniej zręcznie miała znany materyał obrobić, jak pani profesorowa Luiza Mülbach w swych historycznych romansach?

Niegdyś, bardzo sławionej w arystokratycznych kołach, poetki i autorki mnogich powieści, pani Henryetty Paalzow (szczególniej znanej z pierwszej swej pracy *Goduci Castle*) — wychodzi kompletny zbiór romansów w Stuttgardzie. Sława pani Paalzow z początku bardzo przesadzona, która później doznała niesłusznej krytyki — zyszcze w Niemczech na tem wydaniu zbiorowem. Dziś już czytamy w jednem z pism tygodniowych, że pani Paalzow talentem opowiadania nie dorównywa wprawdzie Spindlerowi i Storchowi, ale stylem obu ich przewyższa.

Pisma niemieckie głoszą sławę panny Symonowicz, która chodziła na medycynę naprzód w Zurychu, potem w Bernie i tu po zdaniu egzaminów „*summa cum laude*“ (z największą pochwałą), otrzymała stopień doktora medycyny.

Nie jest to jednak pierwszy przykład doktoryzacyi kobiety: w sali bibliotecznej w Götyndzie stoi bardzo piękne popiersie doktorki Dorothy Schlözer, córki sławnego Schlözera, której tytuł ten nadano po ścisłym egzaminie. Służyło to za prejudykat uniwersytetowi, który się nie wzdragał d. 27 Sierpnia tego roku orzec przez usta dziekana fakultetu filozoficznego p. Lotze, iż panna Zofija Kowalewska z Moskwy, po zdaniu świetnego egzaminu z matematyki i napisaniu rozprawy o zrównaniach „parcialno-dyferencyalnych“ zasłużyła na tytuł Doktora Filozofii i Magistra Sztuk Wyzwolonych.

W istocie to wyzwolenie było nieposolitą sztuką!! Ktoby sądził że dopiero w XIX wieku doszliśmy do tego postępu, niech sobie przypomni pannę Annę Schurrmann w XVII-tym.

Według nas przykłady te rozwiązują w bardzo prosty sposób to co się niewłaściwie nazywa kwestyą kobiecą. Kobieta równie jak mężczyzna, ani mniej ani więcej, ma prawo kształcenia się, wedle sił, talentu, zdolności i ochoty. Granicę tę stanowi dar Boży. Kto go nie ma i nie czuje w sobie, na cóż mu się zda prawo! Kształcenie się jest dla każdego obowiązkiem, nie każdemu jednak możliwością... Wedle stawu grobla!!

MAURYTANIE I ARABY.

Szkice z życia wschodniego

PRZEZ

Ludwika Niemojowskiego.

Niejednej z Was stoją zapewne w pamięci dziecięce lata, w których czytając powieści z tysiąca i jednej nocy, zachwycałyście się fantastycznemi, a tyle przemawiającemi do wyobraźni opowiadaniami Szecherdzady. Cudowny kraj Harun-al-Raszyda pełen uroczej złudy, przedstawiał się w tedy wyobraźni Waszej jako eldorado gorączkowych marzeń, w którem fantazya zająwszy miejsce zimnej rzeczywistości, karmiła myśl nadprzyrodzonemi, wychodzącemi po za krańce rzeczywistego życia, obrazami.

Otóż ja pragnąłbym odrodzić w pamięci Waszej te dziecinnych lat wspomnienia, ale niestety ani czas obecny, ani poważny nastrój dzisiejszego społeczeństwa, ani wreszcie ogólny kierunek piśmiennictwa, nie pozwalają mi wychodzić myślą po za kresy, na straży których, niby surowy pedagog, stoi realność życia. Ażeby jednak choć w części wypełnić moje zadanie, przedstawię Wam jednę z krain wschodu ozłoconą palącemi promieniami podzwrotnikowego słońca. Krainę dziwną, zajmującą, niepodobną w niczem do naszych ziem północnych, z ludźmi zagadkowemi, o lodowatem spojrzeniu, ognistej duszy, kipiących namiętnościach.

Pragnąc wywiązać się z przedsięwziętego założenia, nie odstąpię od faktów na rzeczywistości opartych i sięgnąwszy myślą do dalekich wspomnień młodego wieku; wydobywszy z pyłu zapomnienia jeden z obrazków wędrownego mego życia, przedstawię go Wam w odświeżonej formie.

Obrazek ten, prosty opis zajęć i charakterów mieszkańców nader mało zwiedzanej przez europejczyków krainy, przez samą wyłączność swoję, może każe Wam zapomnieć nie tylko o usterkach pióra, ale nawet o tem, iż rzecz o której piszę jest starą, znaną i nie obudzającą wielkiego interesu. Dobre chęci autora może każą Wam zapomnieć tym razem o wszystkich wymienionych wyżej niedostatkach.

. . . .

W roku 1855 udałem się do Kartaginy w celu odwiedzenia grobu patrona mojego Ludwika Świętego.

Wiadomo iż ruiny Kartagińskie znajdują się w kraju Tunetańskim niedaleko od stołecznego miasta tego państwa. Gruzy te niewiele już w dzisiejszych czasach przedstawiają zajęcia. Potężne te szyki potężnego przed wiekami narodu, tyle zmian już doznały, przez tyle klęsk przeszły, że to co z nich obecnie pozostaje nie mówi nam nic o Annibalu, Scypionie afrykańskim, Scylli, i innych sławnych wojownikach; nie przywodzi żadnego wspomnienia o ubiegłych czasach, i zaledwie cień dumającego na ruinie zburzonego miasta Mariusza, przemknie się w rozbudzonej wspominkiem przeszłości wyobraźni. Za chwilę przecież, gdy spojrzymy na maurytańskie cechy tyle razy odbudowywanych gruzów, i owo ulotne wrażenie strawi się pod napływem nowszych, śliczniejszych uczuć a w umyśle wędrowca pozostaną tylko zarysy jednego pomnika, wznoszącego się wpośród tych gruzów, i wybiegającego wysoko pół kołem swojego sklepienia nad rozpadające się zewsząd kolumny szczątków przeszłości.

Tym pomnikiem jest grób Ludwika Świętego.

W roku 1270 zdobył to zaledwie podnoszące się miasto Ludwik IX ale zwycięzywszy potęgą oręża a więcej jeszcze moralną siłą wiary Chrześcijańskiej wrogów Krzyża Świętego, nie zdołał walczyć przeciwko nieprzyjacielowi nieznanemu, tajemnemu, niewidzialnemu, który jako widmo nieujęte przez zmysły wciskał się do najmężniejszych obrońców wiary, najprzedniejszych bohaterów rycerstwa, i ostudzał serca gorejące zapałem chrześcijańskim, zimnym powiewem śmierci.

Wrogiem tym była morowa zaraza.

Tysiące tysięcy żołnierzy padało rażonych zabójczym jadem; hrabiowie Montmorency, Nemour, Vandome, młodziutkie królewne, książe de Nevers, padali z kolei, i Ludwik Święty został się sam z umierającem wojskiem, i z trupami na grzebanie których rąk nie stało!

W końcu i on, ów obrońca wiary naszej, uczuł zaród śmiertelnej choroby w swej piersi, legł na stos popiołów, wzniósł oczy do nieba i wyrzekł te pamiętne słowa:

„Panie, wchodzę do domu Twego i uwielbiać Cię będę w świętym przybytku Twoim!

I w tejże prawie chwili zawijała do portu Sycylijska flota niosąca nowe posiłki, otuchę i pomoc. Niestety za późno przybyła! Ludwik Święty już nie żył, a z groźnej jego armji pozostały tylko trupy, umierający, i wspomnienie o nadludzkich wysileniach bezowocnego poświęcenia.

W tem to pamiętnem miejscu w 1830 roku, Ludwik Filip po zniesieniu się z władzami tunetańskiemi, rozkazał wystawić grób Ludwikowi IX. Grób ten zbudowany przez architekta Jourdain'a, odznacza się całkowicie maurytańskim stylem, i niczem nie odróżnia od licznych marabutów które się wznoszą w różnych punktach wybrzeży afrykańskich, a to dla tego, ażeby kiedyś po upływie wieków, zmianie rządów i stosunków, fanatyzm machometański nie tknął świętokradzką ręką owego pomnika mającego po wieczne czasy mówić potomności o miejscu śmierci Świętego króla, którego kościół nasz w rząd błogosławionych zaliczył.

Miasto Tunis odległe od Kartaginy o 2 lub 3 wiorsty dzieli się na trzy części: maurytańską, chrześcijańską i żydowską. Część maurytańska odznaczająca się nadzwyczajną białością murów, góruje nad innemi. Wrażenie jakie pierwszy rzut oka na najznaczniejszy gród barbaryjskich krajów wyradza w duszy europejczyka, trudno zimnemi opisać wyrazami. Wszystko co się tu widzi jest tak nowe, tak niezwyczajne, tak niepojęte, że w pierwszej chwili obrazy te w których zbytek łączy się z nędzą, cynizm z powagą, przyjemność ze wstrętem, tworzą chaos zalewający potokiem turbanów, uroczych postaci, zakrytych piękności, maurytańskich twarzy, błota, kurzawy, szkarłatów i odurzającego dymu hatczi, wszystko znane nam dotąd aż do cienia rzeczywistości. Nie chce się wierzyć, że to życie jest zwykłem życiem człowieka, że ta ziemia jest cząstką planety na której wzrośliśmy, że ci ludzie są podobnemi nam ludźmi; rozpatrzywszy się dopiero lepiej w tem co nas otacza, zgłębiwszy dokładniej powierzchowność złudzenia, poznaje się że ów mały światek na którym żyjemy wszędzie jest jednakowym, a w Tunis gorszym jeszcze i nikczemniejszym niżeli w starej naszej Europie.

Godziny całe przepędzałem na moim *sottuch* (czyli wierzchnim szałasie domu) mając przed oczami obraz życia Tunetańczyków. W piątek jako w dzień święta muzułmańskiego, ożywiała się część maurytańska miasta, a dachy domów napełniały licznemi zastępami wyznawców proroka. Na wygodnych i miękkich dywanach, zasiadali bogaci mieszkańcy paląc w długich *narguille* aromatyczne liście tytoniu, co chwila małe chłopaczki murzyńskie przynosili swym panom filiżanki czystej moki i ciasteczka zwane *halawch*, które przegryzali z powagą nie mówiąc do siebie i zaledwie jednym skinieniem objawiając swe żądania. Jaskrawość ich ubiorów mile bawi oko: szkarłatne tuniki albo białe kaszmirowe burnusy zakrywają ich barki, szerokie turbany okalają skronie, każda kasta ma swój właściwy kolor okrycia głowy; najrzadsze są zielone, potomkowie bowiem proroka mają tylko prawo ich używać. W głębi tarasów przemknie się czasami niewieścia postać w długim białym *milayel* ale tak zakryta, że pomimo najszczerszej chęci nie mogłem nigdy dojrzeć z po za zasłony nic więcej, prócz żywych okolonych czarnym misternie wymalowanym paskiem, oczów. W sobotę oddział zamieszkany przez potomków Izraela, ożywia się w podobny zupełnie sposób, z tą różnicą, że w kolictach zasiadających na tarasach domów, podziwiać można klasyczność kształtów i czystość rysów, któremi słyną wschodnie Izraelitki a to bez żadnej przeszkody; nowożytne bowiem Rachele nie tylko nie kry-

ją się ze swojemi wdziękami ale owszem rade są z niemi przed cudzoziemcem się pochlubić, w skutku czego na każde ciekawe spojrzenie odpowiadają zalotnym i wabiącym uśmiechem. Kto jednak nie chce utracić miłej złudy, niech tylko patrzy na nie wtedy gdy rzuciwszy się od niechcenia na miękkie wezgłowia, spoczywają na wpół senne we wdzięcznych pozach, ujrzawszy je bowiem powstające z miejsc swoich trzeba pożegnać się ze wszystkiemi iluzyami. Te rozkoszne stworzenia mają chód ciężki, niezgrabny; drobne ich nóżki uwięzione w potężnych drewnianych sandałach klapiących z hałasem o ziemię, wloką się z trudnością, plącząc za każdym krokiem w obszernych szarawarach, słowem kobiety te stają się wtedy o tyle nieznośne o ile były pięknemi i zachwycającemi przed chwilą. Następuje niedziela, potomkowie Abrahama poznikali we wnętrzach niskich swych domów, w dziale maurytańskim także cicho i pusto, natomiast część grodu zamieszkana przez chrześcijan a rozbudzona z tygodniowego odrętwienia wdzięczy się, stroi, przypominając postawą swoją zwyczaje powstałe daleko za morzem, które przyniosła ze sobą na odległe wybrzeża Afryki wraz z tęsknotą za krajem, wraz ze wspomnieniem o zakątku rodzinnej ziemi. Na balkonach europejskich domów zasiadają młode Francuzki w przepysznych toaletach, z misternie ułożonemi splotami włosów, przyjmując wizyty młodzieży wyfrakowanej, która im prawi tysiące grzeczności i czułostek — opodal, opiekunowie i wszystkie rodzaje nowożytnych niezazdrośnych bynajmniej Bartolów, zajmuje się spóźnioną dziennikarską polityką zagłębiając w szpaltach postanowień urzędowych ministra lub w dwuznacznych wywodach Constitutionel'a... Wszystko dzieje się odwiecznym trybem, uprzywilejowanym torem, tak samo zupełnie jak w starej naszej Europie.

Czasami tylko surowy Arab zabłąkawszy się przypadkowo w dzielnicę Franków odwraca głowę ze wstrętem i pogardą, wzywając pobożnie Ałłacha na świadka podobnego zgorszenia.

A gdy cienie zapadną, tu i owdzie odezwie się głos fortepianu zmięszany z dźwięcznym sopranem jakiej pani Lecler lub Dumant, do którego przyłącza się wnet potężny bas oficera od spahów, czasami zagrzmi skoczna polka lub jednostajne tony kontredansa, a w otwartych oknach migają tańczące pary...

I kilku Arabów staje zdumionych na ulicy kiwając smutnie głowami i biadając nad upośledzeniem moralnem Giaurów.

— Fi anaa matrah takif? (Gdzież to zatrzymujecie się?) woła głos przechodzącego derwisza. Idźcie swoją drogą. Ałłach jest wielkim, Ałłach ukarać potrafi.

— Święte wasze słowa: jeden jest Ałłach i prorok jego machomet, odpowiadają poważnie Arabowie, oddalając się od miejsca zepsucia.

A zdaleka dolatują coraz żywsze tony porywającej polki, coraz głośniejszy gwar ożywiającej się stopniowo zabawy...

W poniedziałek maurytańskie miasto powraca do normalnego swojego stanu.

A teraz słówko o kobietach zamieszkujących te strony. Pragnąc poznać kobietę arabską należy naprzód określić tę wielką różnicę jaka oddziela Arabkę pustyni od Maurytanek zamieszkujących miasta. Pierwsza z nich istota czynu pracowita, gospodarna, dzieli z mężem swoim trudy koczującego życia i niebezpieczeństwa wojny. Jest ona dłonią jedną z wybranych towarzyszek życia, której dał miłość, udzielił zaufanie, którą uważa za stworzenie jeżeli nie zupełnie równe to przynajmniej mało co niższe od siebie. Przeciwnie zaś w życiu miast większych, cechy koczujących Arabów pustyni zatarte napływem obyczajów tureckich, sprawiają że Maurytanka w pojęciach swoich i położeniu towarzyszkiem staje się zupełnie podobną do licznych hurysek zapełniających haremy Stambułu. Ten sam w niej materyalizm zwierzęcy, to samo lenistwo i ospałość, ta sama przemiana przechodząca z wdzięcznych kształtów do niezgrabnej otyłości po przebyciu trzydziestego roku życia.

Maurytanka cały dzień Boży przepędza na pięknszeniu swego ciała: włosy misternie strefione napuszcza wonnemi olejkami, paznokcie u rąk i nóg jakoteż dłonie maluje essencyą zwaną henna powstałą z roztworu liści drzewa tego nazwiska, brwi czerni tuszem chińskim a zaś wnętrze powiek proszkiem zwanem Kol utworzonym z palonego bursztynu i różnych kabalistycznych ingredyencyi. Ostatnia ta czynność wymaga niejakiej wprawy i zręczności, należy bowiem zamknąwszy oczy przeciągnąć parę razy narzędziem które jest nasycone owym proszkiem pomiędzy powiekami, tak, ażeby nie dotknąć źrenicy. Czarny prążek powstały tym sposobem na brzegach powiek i rzęsach, powiększa oko i nadaje spojrzeniu jakiś wyraz dziki, tygrysi, który nie jest wszakże pozbawiony pewnego wdzięku. Resztę czasu poświęca kąpielom, jedzeniu i zalotności. Kąpiele nadają jej sposobność powtarzania kilkakrotnie ulubionych czynności toaletowych; jedzenie różnych słodyczy i łakoci zaspakaja jedno z jej materyalnych usposobień, łakomstwo zalotność jest zarazem i doświadczeniem potęgi wdzięków, i zadowoleniem miłości własnej, i dogodzeniem niczem nie pohamowanem namiętnościom, które w tej naturze ospałej, bezmyślnej i obojętnej, stają się jedynym bodźcem wyrywającym myśli ze zwykłego odrętwienia. Nie ma sposobów, jakichby nie starały się użyć te istoty do zwabienia cudzoziemców wtedy, gdy ich mąż i pan opuścił domowe progi. Ani wyniosłe mury zasłaniające okna nizkich maurytańskich domów, ani liczny szereg eunuchów i murzyńskich niewolników strzegący oczami argusów wejście do owych zamurowanych przybytków próżniactwa, ani godność osobista której nigdy nie znały, ani wstyd niewieści który w dziecinnem prawie utraciły wieku, nic nie zdoła ich wstrzymać od wykonania powziętego zamiaru. Biada jednakże jeżeli zazdrosny Maur zdoła jakimkolwiek bądź sposobem pochwycić intruza w swoim haremie: zamordują go bez miłosierdzia wraz z niewierną a najpotężniejszego nawet flaga narodu nie zdoła wtedy wymódz u rządu tunetańskiego zadosyć uczynienia.

— Wielkim jest Ałłach, odpowiedzą w Bardo; co On zrobi dobrze jest zrobionem. Nie poddany to tunetański zamordował Giaura ale Ałłach ręką jego ukarał przestępcę.

Maurytanki w ogóle są bardzo piękne. Rysami twarzy i nadzwyczajną białością płci zbliżają się do Georgianek; drobne ich ręce zupełną bezczynnością wypieszczone są że tak powiem puchowej delikatności, a bogactwo włosów tak wielkie, iż rzadko się zdarza ażeby rozpuszczone sploty nie sięgały do ziemi. Kształty przecież figur tych kobiet nie odpowiadają harmonijnej całości zarysów; przyzwyczajenie ciała do obszernych ubiorów sprawia że wcięcie wyżej bioder jest nieoznaczonem, co zresztą przy sposobie ich ubierania się nie razi bynajmniej oka. Od piętnastego do szesnastego roku życia jaśnieją one w całym blasku swych wdzięków i zalotności. Wtedy to starają się najwięcej przełamać surowe prawo koranu nakazujące im zasłaniać twarze, choćby tylko dla pochlubienia się swoją pięknością przed zdumionym cudzoziemcem. Po upływie tego czasu chęć owa słabnie wraz z przemijającemi szybko wdziękami, z każdym przybywającym rokiem zalotność ustępuje lenistwu i gnuśności, wszelkie zaś rozkosze koncentrują się w pożywaniu niepomiernym łakoci i różnych słodyczy. Rzadko też piękność swoją zdołają dochować do 25 roku życia: po trzydziestym zaś stają się ciężkie, otyłe niezgrabne, obudzając z kolei zachwyt podżyłych Machometanów, lubujących się szczególnie w tym rodzaju niewieściego wdzięku.

Arabowie nie mają zwyczaju mówić o swoich kobietach, zdarzyło mi się przecież pewnego razu podsłuchać następującą rozmowę.

— Salem alejkum!

— Alejkum salem!

— Ben-Fatalah, Ałłach błogosławi twojemu domowi.

— Wielkim jest Ałłach — przedałem przed tygodnim za sześćset Kircz (piastrów) essencyi różanej.

W oczach pytającego zdawało mi się dostrzedz pewien odcień zawiści.

— Przybyło też tam coś w haremie moim: bintein wa waled (parę córek i jeden syn).

— „Wah!“ odrzekł pierwszy z pewnem poruszeniem ramion; jak gdyby chciał powiedzieć; nowy kłopot więcej.

I już się mieli rozejść.

— „Deh!“ dodał zapytany poprzednio, przypominając sobie jakąś drobną podrzędną okoliczność — ożeniłem się wczoraj.

— „Rali?“ (drogo?), dorzucił od niechcenia pierwszy.

— Dałem posagu 1500 piastrow (dziewięćdziesiąt rubli sr.) (*)

— Keczir! (dużo) westchnął pierwszy, a ładna?

— „Trudnoby na całym wybrzeżu Afryki, od wschodu do zachodu podobnie zachwycającej wynaleść istoty; ogromna jak wieża minaretu, potężna jak słoń afrykański.

Słuchający przeciągnął językiem po wargach, oczy mu zaiskrzyły się na samą wzmiankę tyle uroczej piękności.

— Waży 200 okka (około pięciuset funtów) dodał tamten, pragnąc jak widać tym ponętnym obrazem doprowadzić do ostatecznego kresu zazdrość swojego towarzysza.

Widocznie dokazał tego. Arab podniósł oczy ku niebu westchnął, zamyślił się głęboko, i rzekł w końcu uroczystym głosem:

— „Wielkim jest Ałłach co on zrobi dobrze jest zrobionem Ben-Fatalah, jesteś szczęśliwym pomiędzy szczęśliwymi!

I odszedł powolnym krokiem marząc zapewne o wspaniałej postaci kobiety ważącej 200 okka!

Beduinki nie są tyle pięknemi, ale jak już wyżej powiedziałem stosunki ich z mężami odznaczają się serdeczną życzliwością, wzajemnem zaufaniem, a usposobienie ich charakterów nie jest tak bezwzględnie materyalnem i pozbawieniem wszelkiej oznaki uczucia jak to mieliśmy sposobność widzieć u pierwszych. Arab podług ustaw koranu ma prawo pojąć cztery żony i utrzymywać zarazem tyle nałożnic ile ich jest w stanie wyżywić, zwykle każda z czterech kobiet ma swój wydział w gospodarstwie domowem, najstarsza zaś wiekiem trudni się ogólnym nadzorem tej małej monarchii w której mąż jest samowładnym panem.

Stosunki życzliwości, spokój jaki ciągle panuje w tych zamkniętych w sobie gronach rodzin, są przyczyną że jakkolwiek ustawy Mahometa zabraniają surowo przypuszczenia niewiast do wspólnego stołu, dzielą one jednak w życiu Araba pustyni wszystkie jego zajęcia i prace, trudy i kłopoty, radości i smutki. Nieodosobnione jak w miastach wśród tajników niedostępnych haremów, każdą niemal chwilę przepę-

(*) W państwie tunetańskiem jest zwyczaj iż mężczyzna biorący żonę daje jej rodzicom pewną kwotę pieniężną, stosownie do ugody. Summa podobnie udzielona zowie się mar. (posag). (przyp. aut.)

dzają z nim wspólnie pod płótnem obszernego namiotu, a w porze wieczornej gdy Arabowie zgromadzają się dla opowiadania sobie wzajemnie owych fantastycznych baśni wyradzających się pod wpływem wschodniej wyobraźni, widzieć je można skupione w głębi namiotów i słuchające z zajęciem cudów owej uroczej krainy w której jedynem bóstwem fantazya, jedynem prawem nadzwyczajność.

Arab pustyni poważny w swych ruchach, oględny w każdem wyrzeczonem słowie, nie trwoni równie jak Maurytanin wyrazów napróżno, ale znowu milczenie jego nie jest bezmyślnem, apatycznem jak u pierwszego—ma on chwile w których poczucie piękna, zachwyt poetycznej wyobraźni wylewają się na zewnątrz w potoku słów powolnych w prawdzie i uroczystych, ale tchnących częstokroć uczuciem, a zawsze odznaczających się zamiłowaniem sprawiedliwości i wrodzonego prawa człowieczeństwa.

Kiedy słońce zniżające się ku zachodowi nie dogrzewa tak mocno, kiedy lekki powiew wiatru biegnącego od morza roztacza miły chłód w ziejącej żarem ognia przestrzeni, kiedy stada wielbłądów i kóz powracają do swych zagród, poważni ci mieszkańcy pustyni zasiadają w namiocie, a najstarszy wiekiem zabiera głos i opowiada jedną z tych legend cudownych, dziwnych, zdumiewających wypadkami, które tysiąc razy słyszane, wyradzają zawsze równe zajęcie, obudzają zawsze równą ciekawość.

(d. c. n).

LIST TRZECI

Z NOWEGO YORKU DO CHICAGO,

w Ameryce północnéj

przez

SYGURDA WIŚNIOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Szum ten zawsze dziwny miał dla mnie urok, jak wszystko morskie. Siedząc nad wodą liżącą me stopy, pisząc na piasku nazwiska drogich miejsc i osób, słuchałem nieraz przez noc całą tego szumu. W głosie jego było coś jak w tonie wzniosłej sonaty, co choć jej nierozumiałem przemawiała do mego serca.

Jeżeli cię kiedy Czytelniku zapędzi los szczęśliwy nad brzegi Oceanu, jeżeli zdołasz się wyrwać z koła gości kąpielowych toczących płytkie rozmowy, pójdź nad wybrzeże i posłuchaj tej muzyki. Tyle w niej szczytności jak w głosie burzy szumiącej w liściach podkarpackich borów.

Wreszcie długie szeregi kominów i chmura dymu wisząca na zachodzie zapowiadają iż zbliżamy się do Chicago. Mijamy domy rzadkie najpierw i niskie, wnet już kamieniczki przyzwoite biegą po prawej i lewej stronie ulicy, wreszcie dojeżdżamy pomiędzy czteropiętrowe gmachy i stajemy w dworcu, nie lepszym od drewnianej stodoły i dziwnie odbijającym od tak pięknych budynków. Wykłóciwszy się z urzędnikami kolejowemi o nasze kufry, gdyż przy ogromnym ruchu i ścisku nie mogliśmy ich otrzymać przez czas dłuższy, wychodzimy na ulicę.

CHICAGO.

Chicago! kto słyszał o Chicago lat temu 20, gdy na odludnym stepie, nad brzegami jeziora ledwie znanego, wznosiła się drewniana mieścina zajęta li wysyłaniem do Europy mąki i solonej wieprzowiny? Później, gdy w skutek szybkiego budowania kolei żelaznych stan Illinois zaludnił się niepospolicie, gdyż *prairies*, tworząc większą część jego, wydawały obfite plony bez wielkiej pracy, a równość ziemi pozwalała okryć go gęstą siecią kolejową, bliskość zaś jezior i rzek spławnych ułatwiała wywóz ziemiopłodów, poczęliśmy się dowiadywać iż Chicago istnieje a nawet ma parę kroć sto tysięcy mieszkańców. Lecz wątpię czy wielu Europejczyków mogłoby było bez wahania wskazać je na mapie, a większość nie mogłaby powiedzieć którego stanu jest stolicą.

Dopiero gdy okropna wieść doszła do nas przed dwoma laty, iż miasto liczące już 300000 ludności zgorzało do szczętu prawie wjednej nocy, gdy Anglija sypnęła hojnie milijonami dla pogorzelców miasta dostarczającego tyle worów mąki corocznie, iż szósta część Anglików z niej żyje, zwrócono uwagę powszechną ku Chicago. Dziś pewno już wiadomo czytelnikom znającym geografię iż gród ten, trzeci co do ludności i handlu w Stanach Zjednoczonych, leży o jakie 200 mil geogra: na zachód od Nowego Yorku, ma 400000 mieszkańców i jest stolicą handlu zbożowego zachodniej części Ameryki.

Czy wiadomo Wam jednak iż gdzie dziś tak ludne miasto stoi, przed dwoma laty tylko czerniały się nagie pola, i tu i owdzie kamienny komin lub brukowana ulica przerywały jednostajność tej czerni?

A dziś?

Ulice jakich ani Nowy York ani żaden inny znany mi gród oprócz Paryża i Wiednia nie posiada, szerokie, równe jak po stole, przecinają rzędy cztero i pięcio piętrowych kamienic. Stylem, rozkładem pomieszkań i przepychem wystaw sklepowych, przypominają one owe gmachy w guście odrodzenia, jakiemi drugie cesarstwo zabudowało bulwary i avenues paryzkie.

Na co drugie cesarstwo potrzebowało lat 20, Chicago w dwóch latach uskuteczniło. W tym krótkim bowiem przeciągu czasu dźwignięto południową część jego z perzyny. Północna i zachodnia nie uszkodzone nigdy ogniem i dziś wyglądają jak wszystkie nowe amerykańskie miasta. Niskie drewniane domy i ulice bezludne przypominają step istniejący tu przed dawnemi laty.

Południowa częśc Chicaga (czytaj Czikaga) mieści pewno połowę mieszkańców jego i ściśnięta pomiędzy rzeką Chicago a jeziorem Michigan, jest siedzibą handlu i przepychu miejskiego. Pomimo iż znaczna część domów ledwie wykończona, że rusztowania otaczają jeszcze niektóre z nich a tu i owdzie stosy wapna i cegieł zawalają chodniki, ogólne wrażenie wyniesione z tej części miasta musi być dobre. Żaden gród jaki dotąd widziałem w Ameryce nie posiada ani tak pięknych kamienic ani gwarniejszych ulic, żaden nie przypomina o tyle naszych stolic.

Ludność zdaje się być energiczniejszą nawet od mieszkańców Nowego Yorku. Wszystko tu biega, pracuje, krząta się za interesami. W chwilach wolnych od zajęcia głównym przedmiotem ich rozmów jest chełpienie się tem co wciągu dnia dokonali.

W hotelu gdzie stanąłem, czuć świeże wapno i wilgoć z nowych murów cienkich jak gdyby nie z cegieł lecz z kart stanęły. Gospodarz Niemiec pokazuje mi pokój wielce podobny do owych dziur wiedeńskich zwanych kabinetami, w których łóżko i stolik tyle zajmują miejsca, iż obrócić się nie możesz, a okno wychodzi na ciemny korytarz. Oddając mi klucz od tego pokoju zapowiedział iż będę miał na noc kolegę.

— „A gdzież go pan pomieści? Wszak tu tylko jedno łóżko?“

— My tu po dwóch w jednem mieścimy łóżku, odrzekł właściciel.

— Cóż pan liczysz za pół łóżka?

— Pół dolara za noc.

— Licz pan dolara i daj mi całe

— Panie, gdybyśmy panu całe łóżko oddali stracilibyśmy jednego lokatora. Kto śpi u nas ten i je u nas, pobieramy więc po 2 dolary na dobę od niego. Gdybyśmy mu nie mogli dać tu pościeli on gdzie indziej stołować się musi, pan więc musiałbyś nas wynagrodzić za tę stratę

— Kiedy tak to przyjmę i pół łóżka.

To mówiąc począłem rozpakowywać kufer.

Niemiec nie wychodził. Widocznie coś mu ciężyło na sercu gdyż krząkał i otwierał usta, jakby nie wiedział jak zacząć rozmowę. Wreszcie zapytał:

— Pan Amerykanin?

— Nie.

— Anglik?

— Nie.

— Niemiec?

— Nie.

— Zkądże pan?

— z Europy.

— Pan z Europy? Czy widział pan kiedy w Europie takie miasto jak Chicago.

— Widziałem i lepsze i gorsze.

— Czy pan widział kiedy dom zbudowany umeblowany i urządzony na hotel w trzech miesiącach? Dom czteropiętrowy do tego, mój panie.

— Widziałem w Wiedniu, nawet sam mieszkałem w takim domu i dostałem w nim reumatyzmu. Na szczęście wyprowadziłem się z niego zanim się zawalił.

— Mój dom się nie zawali, chociaż dopiero w Maju roku bieżącego położyłem podeń kamień węgielny a już w Sierpniu w nim zamieszkałem. My tu w Chicago umiemy budować.

— Lecz tak budujecie iż domy wasze palą się jak zapałki.

— Za to też gdy mamy pożar to jakiego świat niewidział. Pod tym względem nigdy nam nie wyrówna Europa. Wyobraź sobie pan iż z 20000 morgów na których stoi Chicago 8000 stało się przed dwoma laty pastwą ognia.

— Wiem o tem; Nero sprawił jednak lepszy fajerwek, gdy Rzym podpalił.

Gospodarz mój, znać historyk nie tęgi, mocno się oburzył na myśl by w Rzymie mogli mieć większy pożar jak w Chicago. Obywatel kraju w którym wszystko największe, najdłuższe, najszybciej i najlepiej zrobione *w świecie*, gdzie ludzie lepiej się chełpią jak gdziekolwiek *w świecie*, nie zniży się aż do tego stopnia by w czemkolwiek przyznał wyższość Rzymowi.

Rozgościwszy się w hotelu i zapoznawszy z mym towarzyszem niedoli łóżkowej, wyszedłem na miasto, do Polaków do których miałem listy. Kar zawiózł mię do Milwankee Avenue, ulicę mającą $1\frac{1}{4}$ mili polskiej długości i prostą jak strzała: przecina ona zachodnią a więc niespaloną część miasta ukośnie, jakby linija tnąca szachownicę od roga do roga.

Część ta Chicago niespalona dotychczas powinna się spalić. Każdy dom w niej z malowanych tarcic jodłowych, chodniki z tarcic leżą o parę stóp nad powierzchnią ulic brukowanych drzewem. Ciasne i połamane często drewniane schodki służą do schodzenia z tych dziwacznych trotoarów na poziom ulicy. Jak tu ludzie nie kręcą karków w ciemnych nocach, nie pojmuję wcale. Wszystko tu jakby zbudowane by z najmniejszym nakładem najwięcej zająć przestrzeni. Każdy właściciel sili się widocznie by na obszarach swych nastawiać mnóstwo domków a później sprzedawać je pospiesznie i nie tanio osobom nie bogatym potrzebującym pomieszkań.

W istocie udało im się tak rozbudować po stepie iż 12000 morgów pokryli już to domkami, już to budami. Oprócz Moskwy wątpię czy istnieje miasto z równą ludnością zajmujące tyle miejsca. Trzy Wiednie mogłyby się zmieścić na przestrzeni zajętej

przez Chicago. Nie darmo każda ulica tutejsza ma milę długości; wszak 20000 morgów wynosi 2 kwadratowe mile geograficzne.

Wskutek nagłego wzrostu miasta i przestrzeni przezeń zajętej, wiele ulic nie ma bruku, a latarnie gazowe bardzo oddalone jedna od drugiej. Gdy księżyc świeci nie oświetlają miasta, poruczając karki przechodniów opiece nieba. Ludzie bawiący czas dłuższy w tej części Chicaga umieją jednak chodzić po dziurawych trotoarach i drapać się po wschodkach. Zanim ja nabyłem wprawy, nieraz runąłem z wysokości dwóch stóp na ulicę.

Gdyby jeszcze cały chodnik był jednakiej wysokości! Lecz nie; ten właściciel domu wzniesie swój chodnik 3 stopy nad ulicę, ów 6 cali tylko. Co chwila musisz więc schodzić i wchodzić, po schodkach i co chwila się potykasz. Często przeklinałem pamięć dnia który natchnął mnie myślą jechania do Chicago i narażać kark na większe niebezpieczeństwo jak w drodze przez Straleck.

Mniejsza jednak o chodniki i spanie na połowie łóżka. Tyle tu spostrzegłem ciekawych rzeczy iż dziś (zwłaszcza gdy umiem nawet o północy chodzić po ciemnych ulicach) nie narzekam na los srogi. Zresztą jeżeli tu jest 22000 morgów bud, mamy i 8000 m. pałaców.

Niepozorne tutejsze domostwa są po większej części własnością ich mieszkańców. Ludzie ci przybyli do Ameryki przed kilkoma laty bez grosza, dziś dzięki oszczędności mieszkają w drewnianych wprawdzie dworkach lecz własnych; za lat kilka pewno dworki te im nie wystarczą, natomiast pobudują owe *cottage* angielskie które tak przypadają do smaku cudzoziemcom.

Drewniane chodniki ustąpią wtedy miejsca asfaltowym brukom i rzęsiściej zapłoną gazowe światła. Cierpliwości tylko, wszak Kraków nie odrazu zbudowano.

Tym czasem cieszmy się widokiem domków wktórych wyrobnik na zagrodzie równy wojewodzie.

Zresztą pomimo niskich budynków i niezabudowanych placów, nie zbywa w Chicago na rzeczach jakiemi i stara Europa ledwie się poszczyci.

Najpierw rzeka przecinająca miasto tak zawsze pełna okrętów i statków parowych holujących pod wodę galary i żaglowce, iż mało nadmorskich miast posiada port ruchliwszy. Żaglowce tutejsze dziwnej budowy zwracają uwagę cudzoziemca. Należą one do klasy *szonerów*, czyli dwumasztowych statków o italskich żaglach; nie jeden jednak z szonerów tych wyrówna wielkością fregacie. Kto zna cokolwiek sztukę marynarki pojmie, ile to zręczności wymaga kierowanie takich statków i utrzymywanie w ładzie italskich żagli.

Mosty zwodzone przeskakujące przez rzekę zbyt niskie by mogły przepuścić pod sobą smukłe maszty szonerów. Otwierają je więc dość często z czego wypływa ogromna niewygoda dla przejeżdżających powozów. Co kilka minut ujrzysz po obu stronach rzeki mnóstwo karów, powozów i pieszych ludzi czekających na zamknięcie mostu, ztąd wiele hałasu i wypadków.

Dla zaradzenia złemu prześwidrowano dwa tunele pod rzeką. Służą one nie dla przechodniów tylko jak londyński tunel lecz i dla pojazdów. Długość każdego tunelu wynosi przeszło 500 kroków, pod względem więc podwodnych tunelów prześcigło Chicago Europejskie miasta.

Najlepszym dowodem dziwnej energii mieszkańców jest podniesienie całego miasta na jakie 8. stóp Chicago leżało dawniej ledwie parę stóp nad powierzchnią jeziora. Wody deszczowe zmieniały ulice w bagna, upały letnie wysuszając te kałuże sprowadzały zabójcze wyziewy, i w skutek malaryi grasowały choroby zaraźliwe.

Nawieziono więc tyle ziemi i kamieni na ulice, by podnieść je wysoko nad poziom rzeki. Przez takie wzniesienia ulic domy stałyby w jamach, gdyby ich nie podniesiono w górę. Mieszkańcy wzięli się do pracy i dzwignęli maszynami dom po domie do równej z powierzchnią nasypów wysokości, stawiając pod nie pale dla zatrzymania ich w miejscu. Dziś każdy dom drewniany w Chicago ma suterenę, do której wchodzisz od ulicy po wschodkach.

Kamiennych i ceglanych domów nie mogli podnieść, zmienili więc w nich dół na sutereny, a w górze dobudowali jeszcze jedno piętro, tak by kamienica jednako jak dawniej wyglądała. W suterenach mają kuchnie piwnice, restauracye, szynkownie i t. p. Gdy kanały miejskie wypływały do rzeki zanieczyszczały wodę, sprowadzono je w jeden ogromny tunel zkąd maszyny parowe wypompowują nieczystości i posyłają je wprost do jeziora. Praca to była olbrzymia by tunel taki wykopać, wiele miast europejskich ludniejszych od Chicago jeszcze się na nią nie zdobyło.

Niemniej wielkiem przedsięwzięciem musiało być urządzenie wodociągów zasycanych również maszynami parowemi, czerpiącemi wodę z czystej rzeki powyżej miasta. Wodociągami temi sycą rury, zaopatrujące każdy dom wodą wedle zwyczaju angielskiego i amerykańskiego. Za pociśnięciem kurka otrzymasz na każdem piętrze strumień czystego napoju. Podczas pożarów, zdarzających się tu nader często jak we wszystkich drewnianych miastach, nie zbywa już na wodzie do gaszenia ognia.

Te olbrzymie prace i wiele innych wykonano w Chicago od czasu pożaru. Wyobraźcie sobie kochany Redaktorze ile rąk ludzkich i kapitałów wymagało dzwignięcie z gruzów dzielnicy mieszczącej 200000 ludzi, zbudowanej z ciosu i cegieł, i zaopatrzenie tej dzielnicy i całego miasta w kanały wodociągi, tunele i t. p. Prace Faraonów karleją w porównaniu z odbudowaniem Chicago.

Kredyt, owa wielka dzwignia nowoczesnego społeczeństwa, przyczynił się wielce do zmartwychwstania miasta. Ze składek publicznych utrzymywano pogorzelców przez czas jakiś, później banki i kapitaliści dostarczyli większej ich części środków na odbudowanie siedzib. Nie dziw więc iż dziś, gdy roboty prawie ukończone, wiele osób narzeka na ciężkie czasy i z trudnością przychodzi im wypłacać procenta od długów. Robotnicy, mianowicie cieśle i mularze, również niemogą znaleść zajęcia, ztąd bieda im często dokucza. Do powiększenia złego przyczynia się giełdowy popłoch, wpływający niekorzystnie na kredyt w całej Ameryce. Nie jeden obywatel miejski nie może kończyć budowy zaczętego domu, w skutek braku godnych w bankach wspierających go dotychczas.

Pomimo tej tymczasowej biedy, nie wątpię na chwilę o świetnej przyszłości Chicago. Panika finansowa mniej dotknęła ten gród jak nowy York lub fabryczne miasta, gdyż za zboże i mięso wychodzące ztąd przychodzi bezustannie złoto angielskie. Ziemiopłody, przybywają w co raz to większej liczbie do portu nad jeziorem Michigan, poczęści wskutek napływu emigracyi z Europy, ferm i ilości uprawnych morgów, poczęści rozkrzewiania się kolei żelaznych. Z pomnażaniem się przedmiotów do wywozu wzmaga się i ważność i ludność miasta a więc i cena własności. Dom dziś odłużony do ³/₄ wartości tak podrożeje za lat parę, iż ciężary na nim niezrównają i ¹/₄ części ceny jego. Oczywiście więc iż łatwo będzie dłużnikom spłacić podówczas swych wierzycieli.

Z czasem, gdy zamiast brudnych papierków służących dziś za pieniądze w Stanach, znów złoto i srebro wejdzie w obieg, gdy banki spekulujące tak szalenie na giełdach iż często cały kapitał akcyonaryuszów tracą, nie będą mogły zasypywać kraju banknotami, akcyami których wartość zawisła od pierwszej burzy na bursie, muszą ustać i owe popłochy, pozbawiające tak często ludzi pracowitych i niewinnych już to owoców oszczędności, złożonych w takich bankach, już to sposobności zarobkowania. Wtedy Chicago, wywożące li produkta niezbędne światu i tak położone geograficznie iż wszystkie płody zachodnich Stanów (owego spichrza Ameryki) przez nie przejść muszą, stanie się pewno handlową stolicą najobfitszego kraju w świecie.

d. c. n.

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Z Paryża.

(Dokończenie).

Jeszcze w początkach tego wieku, większą część ciał zmarłych przenoszono na noszach na miejsce wiecznego spoczynku, jak to dziś jeszcze ma miejsce ze zwłokami dzieci; niekiedy nawet jakiś silny pomocnik „przysięgłych ogłosicieli” brał trumnę na barki i tak odnosił ją na cmentarz. Lecz tylko rzemieślników i małe mieszczaństwo chowano w ten sposób; bogatych finansistów i szlachtę odprowadzano na cmentarz na okazałych marach, na którym wznosił się wspaniały katafalik ciągniony przez liczbę koni, odpowiednią stanowisku lub majątkowi zmarłego. Ta maszyna pogrzebowa była tak nadzwyczajnie ciężka, iż z obawy wypadku przysięgli zabierali z sobą gromadę stelmachów, siodlarzy i rymarzy, aby ich mieć pod ręką w razie potrzeby. Robotnicy ci mieli na sobie ubiór w jakim pracowali w warsztatach, więc aby nie razili zaniedbaniem, wstępowali na karawan *siadali na trumnie*, a draperye spadające od baldachinu, aż do dołu osłaniały ich przed oczyma zaproszonych. Często się zdarzało, jak podają wiarogodni pisarze, iż grywali na trumnie w arcaby albo domino, lub wytykając głowę przez rozsunięte fałdy czarnych draperyi, wykrzywiali się lub kiwali na obecnych. Zdawałoby się to niepodobnem do prawdy, a jednak pozostały dotąd urzędowe dowody.

Rewolucya odebrała przysięgłym wszystkie ich przywileje, lecz ponieważ oni tylko posiadali wszelkie przyrządy i materyały pogrzebowe, zatem musiano udawać się do nich o zarządzanie pogrzebów. Nie ogłaszali zejścia, nie dzwonili ale zawsze zajmowali się odprowadzaniem zmarłych na miejsce wiecznego spoczynku, ale zysku to wielkiego nie przynosiło bo wszyscy wówczas strzegli się okazałych pogrzebów, gdyż to samo mogłoby pozostałych krewnych zaprowadzić na gilotynę.

Postanowienia Frochota i Napoleona I, przetrwały po dziś dzień z małemi zmianami tylko na mocy upoważnienia danego przedsiębiercy w r. 1860, podzielono pogrzeby na 9 klass. Pierwsza kosztuje 7,184 fr. a dziewiąta 18 fr. 75. Tak więc i bogaci pragnący przepychu i biedacy zostali uwzględnieni. Nie dość na tem jeźli rodzina nie jest w stanie i tak skromnego opłacić pogrzebu, administracya musi chować zmarłego swoim kosztem. Tym sposobem bogaci płacą za biednych.

W starodawnym Paryżu było bardzo wiele cmentarzy, a prócz tego szlachta i magnaci chowali się w kaplicach i grobach kościelnych i klasztornych.

To też gdy rozpoczęto rogulowanie niektórych cyrkułów, napotykano wszędzie niezliczoną liczbę grobów i prawie za każdem poruszeniem łopaty wydobywano rozrucone kości.

Na Pere — Lachaise jest mogiła której nie pominie nikt ze zwiedzających ten cmentarz, to grób Helo-

izy i Abelarda. Jest to wielki pomnik w stylu gotyckim, ozdobiony dwoma posągami mającemi przedstawiać tę słynną parę kochanków; w około zasadzone piękne kwiaty, starannie utrzymywane przez zarząd cmentarza. Tu zawsze można spotkać gromadkę osób opowiadających i słuchających z rozrzewnieniem legendy o losach dwojga kochanków; tu przychodzą młodzi małżonkowie i kochające się pary, i jakby składając hołd opiekuńczym bóstwom miłości, rzucają wieńce u stóp ich pomnika.

Licznie także zwiedzany jest grób sławnej artystki Rachel, wzniesiony w części cmentarza przeznaczonej wyłącznie dla Izraelitów. Wszyscy dawni wielbiciele mają sobie za obowiązek odwiedzać jej mogiłę, po nad którą wznosi się wspaniały grobowiec w stylu egipskim, w środku którego jest urządzony jakby rodzaj ołtarza: przybywszy wypisują swoje nazwiska na ścianach pomnika, a przez kratę rzucają do wnętrza wieńce i bilety wizytowe.

W małym zakątku przeznaczonym dla mahometanów wznosi się ogromny grobowiec biednej królowej Uldy, która przybywszy do Paryża stała się ofiarą zbyt ostrego dla niej klimatu.

Z Pere-Lachaise udałem się na Montmartre, i tu jest bardzo wiele wspaniałych grobowców, jednak najliczniej zwiedzaną jest jedna wielka, blizko 100 metrów obejmująca mogiła, w której po bitwie w maju 1871 złożono 783, poległych Trawa porosła ten grób coraz więcej równający się z ziemią; aż pewnego dnia przyszła tam stara jakaś kobieta, zaczęła wyrywać chwasty i w jednym rogu piękne zasadziła kwiaty.

Od owego czasu przychodzi codzień jak tylko otworzą bramę cmentarza, klęka na mogile, pele, porusza ziemię i sadzi przynoszone z sobą kwiaty, z których niektóre są bardzo rzadkie. Pracuje gorliwie całe dnie i widać zna się na ogrodnictwie.

Straż cmentarna nie przeszkadza jej w spełnianiu zadania jakie widać założyła sobie; jeźli tak z rok jeszcze pracować będzie, cała ta smutna przestrzeń zamieni się w kwaterę najpiękniejszych kwiatów.

Cmentarz *południowy Montparnasse* założony jest po nad katakombami. Pomysł to nie szczególny, bo korzenie drzew spuszczają się aż przez sklepienia dawnych kopalni, i były wypadki zapadania się grobów. Założony w lipcu 1824 r. cmentarz ten kryje dziś w swem łonie 422506 trumien. Piękne drzewa poważny cień rzucają na mogiły. Uderzyło mnie że w miejscu gdzie najpiękniejsze stoją grobowce, pod cieniem rozłożystego drzewa, wznosi się skromna mogiła a na niej płyta kamienna bez daty i bez żadnego nazwiska. Zaciekawiony zapytałem nadzorcy cmentarza, i oto co mi powiedział.

W nocy 24 sierpnia 1847 roku, o godzinie wpół do drugiej przyniesiono tu i pogrzebano zwłoki jakiegoś nieboszczyka; nie było nikogo prócz służby cmentarnej i tylko jeden z najpierwszych dygnitarzy państwa szedł za trumną. Kapłan odmówił żałobne modlitwy przy bladem świetle latarni i poświęcił mogiłę; nikt ze służby cmentarnej nie wiedział kto w niej spoczął snem wiecznym. Kiedyś był to magnat znakomity rodem i stanowiskiem; tu złożono zwłoki niecnego zbrodniarza: Księcia de Choiseul Praslin. Grobowiec ten jest zupełnie opuszczony i widać przeklęty, bo nawet trawa nie porasta na nim.

Idąc dalej bez myśli, zaszedłem w dość odległą, krzewami zacienioną stronę cmentarza; nagle doleciały mnie dźwięki aryi *Casta diva* czystym ale załzawionym śpiewanej głosem. Co się to znaczy? pomyślałem; zkąd śpiew ten przedarł się na cmentarz? I poszedłem w stronę zkąd głos dochodził. Doszedłszy do miejsca ujrzałem młodą kobietę w żałobie, klęczącą przy grobie. Położyła obie ręce na płycie grobowej i wsparłszy na nich głowę, śpiewała i płakała razem. Zatrzymałem się o kilka kroków w przekonaniu że biedna śpiewaczka jest obłąkaną, i z politowaniem patrzyłem na nią. Skończywszy aryę wstała ocierając zapłakane oczy, po chwili spostrzegła mnie, a wyczytawszy z mej twarzy współczucie i zadziwienie, rzekła wskazując mi mogiłę: „To grób matki mojej, ona tak lubiła ten śpiew“— i odeszła łkając.

K. G.

Przegląd literacki.

Obrazki z życia dla młodocianego wieku, przez Maryę z Łozińskich Popławską. Warszawa 1874.

Pod tym tytułem autorka wydała trzy powiastki: Pierwsza „Sierota“ pomimo bardzo już we wszystkich możliwych kierunkach zużytego przedmiotu, jest to dość udatne opowiadanie o losach sierotki Helenki i rodziny, która ją przypadkowo do siebie przygarnęła. Autorka umie opowiadać z wdziękiem, z serdecznem ciepłem i z tym zapałem dla wszystkiego co piękne i szlachetne, który uwidocznia się nie w czczych wykrzyknikach, lecz w samym wyborze i grupowaniu sytuacyi charakterów. Wszelako tę pierwszą powiastkę uważamy za słabszą od dwóch pozostałych: znajdujemy tu bowiem spowszedniałe już dziś nieco motywa jak historya z woreczkiem p. pułkownikowej, rychłe niemal cudowne uleczenie Anielki, wreszcie odnalezienie brata przez Helenkę a przy końcu Veni Creator. Podnosimy to ostatnie, nie dla tego żebyśmy w zasadzie byli przeciwni wszelkiej wzmiance o małżeństwie, a nawet o miłości w powieściach dla młodego wieku(choć i nie dla „młodocianego“), ale z powodu że dzisiaj takie zakończenie do tego stopnia spowszedniało iż najpożądańszą jest taka powieść, nawet dla starszych, przy końcu której „Numa nie idzie za Pompiljusza“.

Drugie opowiadanie p. t. „Stefanek“ zawiera w sobie wiele rysów wspólnych z poprzednią powiastką. Jest to również powieść o losach chłopca sieroty, który po rozmaitych smutnych przejściach zostaje nakoniec znakomitym artystą. Powiastka ta, najobszerniejsza ze wszystkich, toczy się czasem może trochę rozwlekle (zwłaszcza ze względu czytelników); może nawet za wiele w niej nadzwyczajnych efektownych wypadków jak śmierć Szechenego, obłąkanie jego żony, noc spędzona przez Stefanka na mogile ojca, błąkanie się z dziadkiem w lesie; ale z drugiej strony dążność zawsze wysoko moralna i umiejętność w kreśleniu charakterów czynią powiastkę zajmującą nawet dla dorosłych. Jak wiele np. daje do myślenia postać Szechenego, jak charakterystycznymi typami są np. dziadunio i Antoś! Obchód wilii w domku leśniczego, skreślony rzewnie, przemawia do serca każdego, kto czci swojskie obyczaje i tradycyjne obrzędy.

Trzecią powiastkę p. n. „Z życia Janinki“ uważamy za najlepszą. Przygody przypadkiem zapomnianej w podróży kapryśnej panienki, skreślone tu tak żywo, z takim naturalnym, rzeklibyśmy poważnym humorem, a przy tem moralne zadanie powieści tak jest przeprowadzonem trafnie, że z wielkiem zadowolnieniem przeczytaliśmy całe opowiadanie, a przenosząc się w minione lata młodociane i stawiąc się na miejscu młodych czytelników, nie wątpimy że ta powiastka podoba się im niezmiernie. Zapomniana przez matkę Janinka, drogą ciernistych przejść a niespodziewanych udręczeń, poprawia się moralnie, uzacnia i uszlachetnia, a dzieje się to wszystko tak naturalnie, że poprawa jest koniecznym niejako skutkiem wypadków, bez naciągania i nadzwyczajności.

Na pochwałę autorki i to jeszcze można powiedzieć, że troskliwie przestrzega czystości języka tak że polszczyzna jej jest bez zarzutu, co nieczęsto zdarza się piszącym obecnie w epoce skażenia naszej mowy. Styl jej jest prosty i naturalny, szlachetny i jasny zarazem; jest to właśnie styl, którego matki powinny używać, przemawiając do dzieci, bez afektacyi, moralizującej przesady i niesmacznych patetycznych zwrotów, które przez wielu uważane są mylnie za konieczny warunek utworów dla dzieci pisanych. Najlepszym będzie taki utwór, który obejdzie się bez moralizujących konkluzyi, gdyż takowe sam młodociany czytelnik wyciągnie z łatwością, a gdy sam wyciągnie, tem łatwiej je sobie w duszy zaszczepi: suche morały i ton przesadny kaznodziejski odstręczają dzieci stanowczo. Nakoniec gdy powieść będzie sama przez się dobrą i zajmującą, zupełnie zbytecznemi będą używane tak często zwroty „Słuchajcie dzieci, uważajcie kochane dziatki“ i. t. d. gdyż i bez tego dzieci mają z natury pociąg do rzeczy prawdziwie dobrych, zajmujących i pouczających. Ten pociąg to skarb nieoceniony dla umiejących zeń korzystać matek i nauczycieli: fundament przyszłego wykształcenia.

Autorka dowiodła rozebranemi przez nas opowiadaniami, że na mozolnej i złotodajnej niwie piśmiennictwa dla młodzieży umie korzystnie pracować. Mamy nadzieję że dalsze jej utwory będą jeszcze lepszemi, a takich jak najwięcej nam potrzeba.

L. Sz. W.

Przyjaciela Dzieci Nr 50 wyszedł z druku i zawiera:

Prenumerata kwartalnie wynosi:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Żabia Nr. 956.*

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk E. Skiwskiego, w Warszawie, Elektoralna Nr 758 (28 nowy). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.**

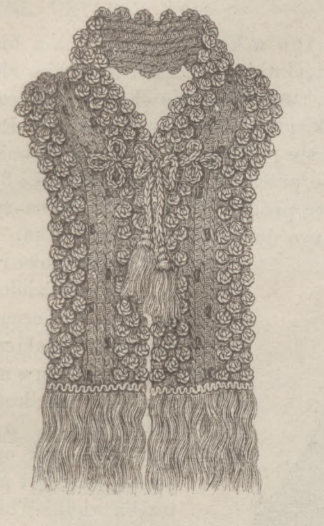
Dodatek.

Opis do N. 50.

(Ciąg dalszy).

N. 11—12. Szalowy kapturek.

Szalowy kapturek przedstawiony z przodu i z tyłu na rycinach 11—12 z końcami z krzyżowanemi na piersiach i spiętemi kokardą z tyłu, układa się z kawałka kaszmiru białego, 200 cent. długiego, a 64 szerokiego, naszytego w około brzegów czarną lub kolorową aksamitką 3½ cent. szeroką. Brzeg przedni kaszmiru pozostaje prosty, z tyłu zaś na środku wycina się na 26 cent. szerokości ząb skośny. Po założeniu na wierzchu głowy kontrafałdy, tworzą się dwa zęby spiczaste widoczne na ryc. 12. Ranwers wyłożony, z przedniego brzegu na wierzch kapturka, liczy 9½ cent. szerokości. Między ranwersem i kontrafałdą założone są ku przodowi dwie fałdy poprzeczne, przyciśnięte kokardą. Takież kokardy dane na brzegu ranwersu nad czołem, na kontrafałdzie, pod szyją i z tyłu przy spięciu kapturka.



N. 7. Krawatka odpowiednia do mufki.



N. 1. Kapelusz z rondkiem podniesionem z tyłu.

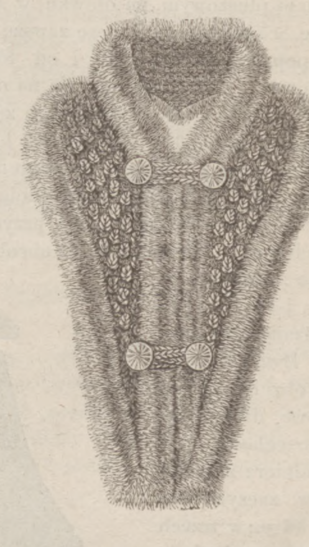
N. 2. Kapelusz z płaskiem rondkiem.

N. 3. Mufka z krawatką.

N. 4 Kapelusz z okrągłem rondkiem.

N. 13—15. Peleryna szydełkowa.

Tło peleryny liczącej u dołu 11 zębów, odrobione jest ściegiem tunetańskim z włóczki nakrapianej perłowej, szlak zaś i kołnierzyk koloru orzechowego w czterech cieniach z paskiem środkowym białym w muszki czarne, odrobiony jest ściegiem pluszowym, którego próbkę przedstawia ryc. 15. Długość peleryny wynosi 47, a szerokość dolna 196 centymetrów. Robotę zaczyna się od dołu, 275-ciu bardzo luźnemi oczkami łańcuszka, do którego dorabia się 11 zębów; na każdy oddzielnie nabierając najpierw na szydełko * 15 o. łańcuszka, z których 5 tylko przerabia się napowrót, a resztę zatrzymuje na szydełku.



N. 10. Kołnierzyk odpowiedni do rękawka ryc. 9. Patrz ryc. 14 w N. 49.

W drugiem obrobieniu, od ręki prawej do lewej, oprócz 5-ciu poprzednich oczek, przybiera się 1 o. łań., a idąc napowrót 1 o. z pozostałych na szydełku, ażeby ten rząd miał o. 7. W następnych rzędach przybiera się zawsze równo z jednej strony o. łań. z drugiej z pozostałych na szydełku, tak ażeby rząd 3 miał o. 11, czwarty 13, piąty 17, szósty 21, siódmy 25 oczek, które nie przerobione napowrót, zatrzymuje się na szydełku i zaczyna od * z ko-



N. 6. Rękawek do krawatki ry. 7.



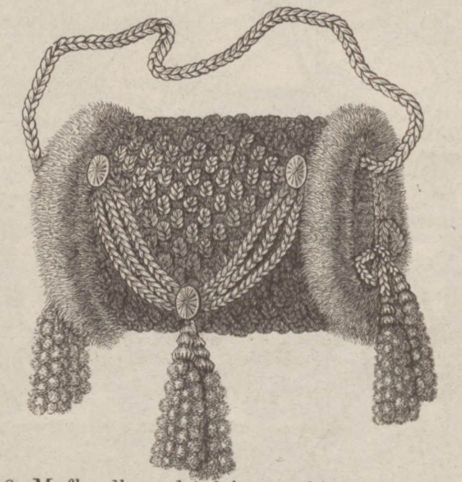
N. 5. Mufka dla małej dziewczynki. Robotę tła podaje ryc. 26. w N. 49.



N. 9. Rękawek do ryciny 10.



N. 11. Szalowa kapotka. Przód do ryc. 12.



N. 8. Mufka dla małej dziewczynki. Patrz odpowiedni rękawek i kołnierz ryc. 9—10.



N. 12. Szalowa kapotka. Patrz ryc. 11.

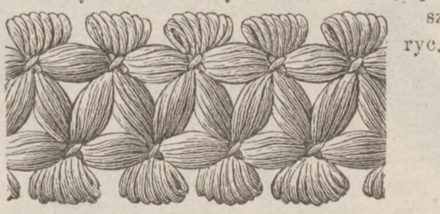
lei, wszystkie pozostałe zęby a po wykończeniu przerabia wszystkie dopiero od ręki lewej do prawej. Dalej w pierwszem przez całą szerokość peleryny obrobieniu, gubi się czyli zrabia razem dwa o. nad każdym zębem; 4-ry następne obrobienia tam i napowrót, są zupełnie gładkie. W 6-tem obrobieniu gubi się o. 17 w odstępie 14 o. jedne od drugich, i przerabia znów 4-ry razy gładko. Po 3-ciem 4 i 5 gubieniu przerabia się tylko po 3 razy gładko, a liczba oczek przedzielających gubienia zmniejsza się ciągle o 1 oczko. Po 6, 7 i 8-mem gubieniu, przerabia się tylko 2 razy gładko, po 9, 10 i 11-tem raz jeden. Wówczas pozostaje tylko 88 o. na szydełku, i długość przodów jest osiągnięta: na wykrój pleców obrabia się jeszcze 5 rzędów, skracanych zawsze od przodów stopniowo o 6 oczek, przyczem gubienie 3 razy się powtarza.

Szlak orzechowy robi się z włóczki podwójnej, ściegiem pluszowym, na ołówku, w sposób na próbce ryc. 15 wskazany, biorąc zawsze od lewej strony w o. poprzedzającego rzędu i od lewej nawijając pętelki na ołówek. Szlak zaczyna się na o. 363 i dzieli na 11 zębów, zupełnie odpowiadających zębom peleryny, a liczącym każdy po o. 33. Na środku każdego zęba gubi się z dwóch stron 17-tego o. po jednem oczku, a w o. 33 bierze razy 3. Nakonicc szlak u dołu obrabia się wązką koroneczką z włóczki perłowej i przyszywa z lewej strony do peleryny. Przody wzdłuż obrobione są 4-ry razy o. śc. biorąc zawsze za obie nitki o. poprzedzającego rzędu. Dwa środkowe obrobienia są perłowe, dwa brzeżne orzechowe.

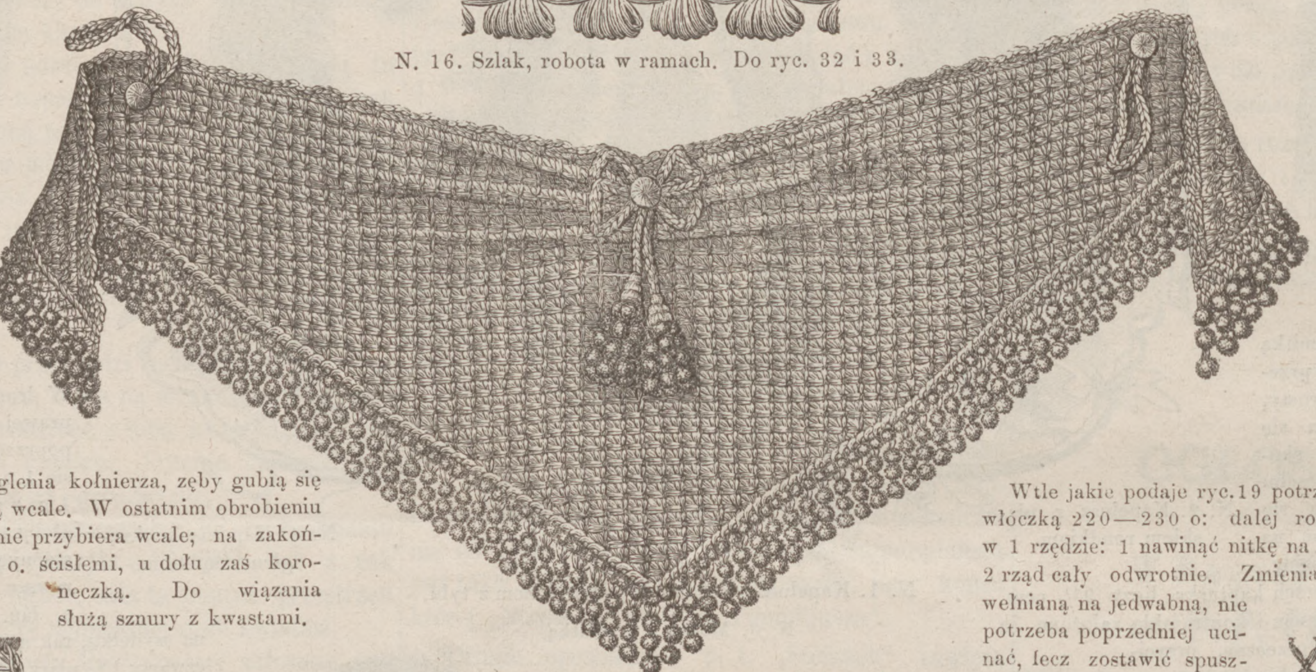
Kołnierz z 8-miu zębów zaczyna się na 136 o.; w trzech początkowych obrobieniach orzechowych, zęby gubi się i przybiera jak w szlaku; w dwóch zaś białych i najjaśniejszym cieniu orzechowym od góry, dla zwężenia i zaokrąglenia kołnierza, zęby gubią się tylko, a już nie przybierają wcale. W ostatnim obrobieniu pluszowem nie gubi się i nie przybiera wcale; na zakończenie obrabia się kołnierz o. ścisłemi, u dołu zaś koroneczką. Do wiązania służą sznury z kwastami.



N. 13—14. Peleryna robiona szydełkiem. Robotę pluszowego szlaku podaje ryc. 15.

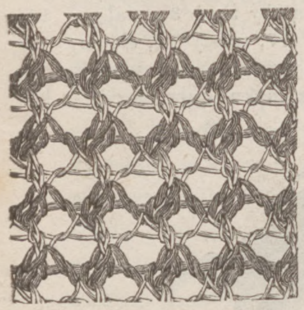


N. 16. Szlak, robota w ramach. Do ryc. 32 i 33.



N. 17. Trójkątna chusteczka. Robota szydełkowa i w ramach. Robota tła podaje ryc. 18.

N. 16. Oszycie do płaszczyka. Opis przy rycinie 32—33.



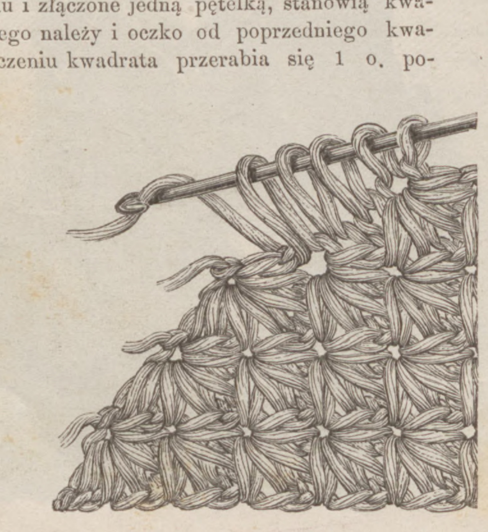
N. 19. Tło robione na drutach do chustki ryc. 41.

N. 17—18. Trójkątna chustka. Robota szydełkowa i w ramach.

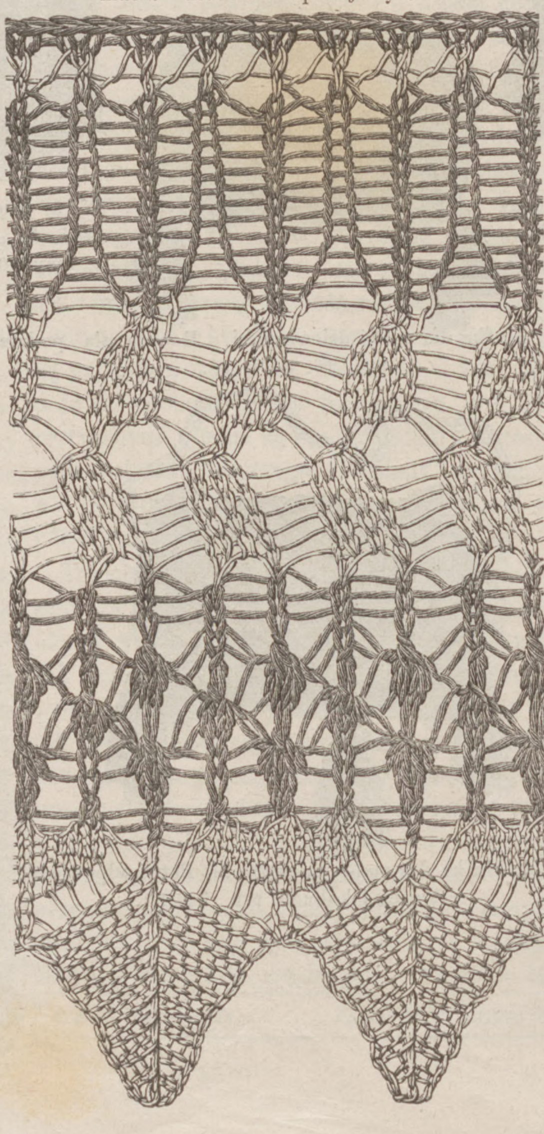
Chcąc czytelniczkom naszym ułatwić robotę rozmaitych włóczkowych chustek, okryć, szalików i t. p. podajemy corocznie nowe wzory ściegów na roboty szydełkowe. W N. 49 załączone były trzy próbki, dziś znów na ryc. 18 wskazany jest nowy ścieg w kwadraty. Rycina 17 przedstawia trójkątną chustkę odrobioną tym ściegiem, z brzegów oszytą szlakiem z frendzlą robioną z kółek. Chustka ta jest z włóczki białej angielskiej.

Próbka przedstawiająca ścieg w naturalnej wielkości, wskazuje zarazem w jaki sposób robi się brzeg skośny. Cztery pętelki przeciągnięte przez różne nitki oczek poprzedniego rzędu i złączone jedną pętelką, stanowią kwadracik, do którego należy i oczko od poprzedniego kwadratu. Po złączeniu kwadrata przerabia się 1 o. powietrzne. Przy końcu każdego rzędu potrzeba nitkę odciąć i zakończyć.

Robota chustki zaczyna się od 340 o. pow. stanowiących prosty brzeg chustki. Już w drugim rzędzie zaczyna się gubienie oczek na brzegi skośne dla uformowania spiczastego zęba. Gubi się w ten sposób iż w miejsce złączenia 4 pętelek na kwadracik, łączy się razem i 4 pętelki następnego kwadratu, jak to z brzegu próbki ryc. 18. Odpowiednio do formy chusteczki, potrzeba czasem zgubić więcej niż 4 pętelki. Chustka przedstawiona na ryc. 17, liczy 60 rzędów roboty; z brzegu górnego, prostego dorabiają się ząbki złożone z 1 o. śc. * 5 o. pow. 1 sł. w pierwsze z oczek powietrznych i 1 o. śc. w piąte z o. powietrznych. Powtórzyć od *. Skośne brzegi otacza frendzla z kółek, z nagłówkiem odrobiona w ramach. Dla dobrego leżenia chustka w pośrodku zakłada się w trzy fałdki, przyciśnięte kokardą ze sznura z kwastami. Do zapinania z przodu służą dwie, krzyżujące się pętlice.



N. 18. Wykonanie tła szydełkowego do ryc. 17.



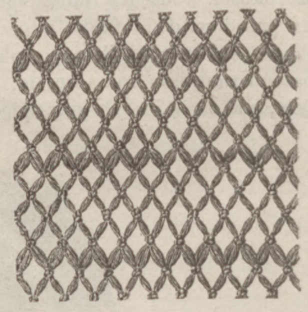
N. 21. Szlak do chustki ryc. 41. Robota na drutach.

N. 19—21 i 41. Chustka do zarzucenia na ubranie wieczorowe. Robota na drutach.

Chustka mająca 106 w kwadrat odrobiona z białej lub kolorowej cieniutkiej włóczki i jedwabiu, złożona w podwójny trójkąt, stanowi lekkie okrycie do zarzucenia na dekoltowany stanik, przy wieczorowem ubraniu. Robotę tła do chustki wskazuje próbka ryc. 19, ale ponieważ robota na drutach nie przez wszystkie czytelniczki bywa lubioną, podajemy więc próbkę roboty siatkowej na rycinie 20 podług której łatwo dobrać grubość wałeczka.

Tło środkowe robi się oddzielnie i po skończeniu oszywa szlakiem. Próbkę szlaku w naturalnej wielkości załączyliśmy na ryc. 21. Jest ona bardzo trudną i potrzeba wielkiej biegłości w robocie drutowej, aby ją można wykończyć bez omyłek. Odsyłamy więc czytelniczki do dawniejszych N-rów Tygodnika w których znajdą inne łatwiejsze wzory.

Wtle jakie podaje ryc. 19 potrzeba robić przy zaczęciu włóczką 220—230 o: dalej robi się tam i napowrót, w 1 rzędzie: 1 nawinąć nitkę na drut, 2 o: zrobić razem, 2 rząd cały odwrotnie. Zmieniając co dwa rzędy nitkę wełnianą na jedwabną, nie potrzeba poprzedniej ucinać, lecz zostawić spuszczoną na kłębku i tylko przeprowadzić brzegiem do potrzebnego rzędu. 180—190 stanowi kwadrat potrzebnej wielkości, który po skończeniu potrzeba rozpiąć w krośnach, aby oczka równo się rozciągnęły.



N. 20 Tło siatkowe na chustkę. Odpowiednie może być do ryc. 41.

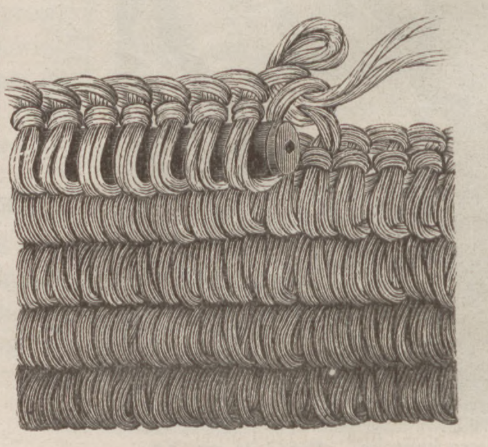
N. 22—23. Dwie próbki ząbków włóczkowych.

Łatwe ząbki złożone jedynie z o: pow: i z o: śc: dające odrobić się podług próbek, mogą być użyte do przyozdobienia ciepłej sukienki dla dziecka, którą podaliśmy na ryc. 3—4 w N-rze 49.

N. 24. Lambrekina. Haft kolorowemi jedwabiami.

Materjał: sukno, skóra, sznur kręcony, 2 cienie kordonku i sznur tego co sukno koloru; jedwab jasno i ciemno zielony, i różowy do cieniu na bukiet.

Lambrekina którą podaliśmy na ryc. 24 u dołu jest wycięta w kształtne zęby, oszyte sznureczkiem kręconym. Ramka w środku której pomieszczony jest bukiet, wyszywa się jasnym i ciemnym kordonkiem. Bukiet odrobiony atłaskiem jedwabiami kolorowemi.



N. 15. Szlak pluszowy do peleryny ryciny 13—14.

N. 25. Torebka na nocną bieliznę. Haft na kanwie Jawa.

Wierzchnia i spodnia ściana torebki są wycięte

w jednym ciągu, z kanwy Jawa, wykład dodaje się z oddzielnego kawałka. Wielkość torebki podszytej w środku szyrtyngiem zależy od upodobania, mniej więcej powinna mieć 36 cent. szerokości 30 wysokości; boczne ścianki są 8 cent. szerokie.



N. 22. Podwójne ząbki do oszycia sukienki ryc. 3 w N. 49.

Deseń wyszycia ściegiem luźnym stębnowanym i krzyżykami, podaliśmy na ryc. 15 w N-rze 49. Rycina 16 w N-rze 49 podaje w naturalnej wielkości próbkę rzuciku. Deseń wyszywa się kolorową włóczką lub jedwabiem.

N. 26. Okrągły kapelusz ozdobiony szalikiem i piórem.

Kapelusz z cienkiego czarnego filcu ma główkę 8 cent. wysoką a rondko 5 cent. szerokie, z boków na dwa cent. wywinięte w górę. Przybranie stanowi 18 cent. szeroki szalik aksamitny lub jedwabny wyszyty dżetem i sute piórko z kitką piór rajskich.

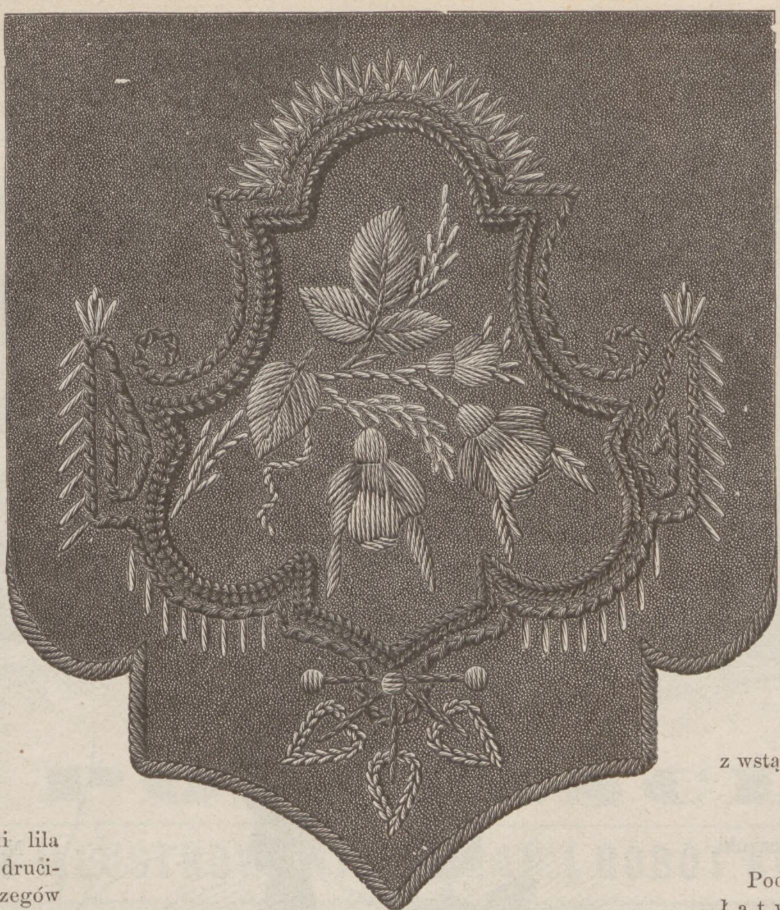
N. 27. Czepeczek dla starszych osób.

Podstawę czepeczka z białej blondyny i wstążki lila do cieniu, stanowi trójkąt sztywnego tiulu, oszyty drucikiem, 30 cent. długi, 9 w środku a po 3 cent. z brzegów szeroki. Do podstawy przyszyte jest denko z tiulu jedwabnego, ściągnięte u dołu na elastykę. Do przybrania potrzeba 90 cent. blondyny 8 cent. szerokiej. Blondyna składa się na dwoje i zszywa w barbkę, spadającą na denko, od góry końce rozdzielają się i dochodzą do przodu trójkąta. 76 cent. ciemnej i 66 jasnej lila wstążki 4 1/2 cent. szerokiej, potrzeba na upięcie podług ryc. 27 pukli i końcy, idących przez denko czepeczka. 140 cent. ciemniejszej wstawki stanowi końce do wiązania czepeczka i garnirunek przy twarzy, mięszany z białą blondynką.



N. 26. Okrągły kapelusz opasany szalikiem.

N. 28. Koronka irlandzka odrobiona jest z plecionki gładkiej i medaljonowej i spajana w ząbkach kratkami a w tle ściegiem sznureczkowym.



N. 24. Lambrekina. Haft jedwabiem



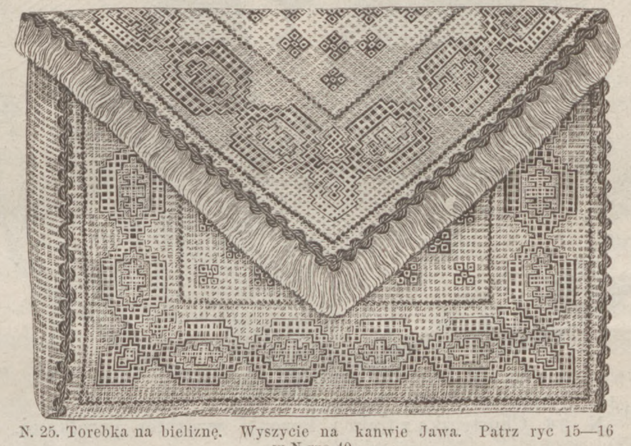
N. 23. Potrójne ząbki do sukienki z wełnianego ryc. 3—4. w N. 49.

N. 29. Płaszczyk z kapturkiem.

Płaszczyk szkockiego materyjału, podszyty od spodu flanelką pąsową, jest formą peleryny 64 cent. długiej z przodu, a 75 z tyłu; szerokość u dołu wynosi 262 cent. Na 1 cent. odległości od brzegów, płaszczyk przestębnowany jest czarnym jedwabiem; zakończenie stanowi frendzla 8 cent. szeroka. Kapturek wszyty wraz z płaszczykiem w pasek jedwabny, wymaga kawałka materyjału 42 cent. długiego i 30 szerokiego, który z górnego brzegu, przy wykroju szyi, podcina się okrągło na 11 cent. iż pozostaje tylko 31 cent. środkowej długości. Dalej kawałek ten ścina się skośno na 8 cent. po obu brzegach i wycina w zęby, które obejmują się czarną materyją i wywijają na wierzch w ranwersy kapturka, widoczne na ryc. 29. W środek poddaje się materyja od góry założona w kilka fałdek, a w śpiczastym końcu kapturka złożoną w głęboką kontrafałdę. Przybranie stanowi sznur jedwabny przytwierdzany guziczkami i sutą kokardą z wstążki rypsowej.

N. 30—33. i 16. Paletocik z kapturkiem.

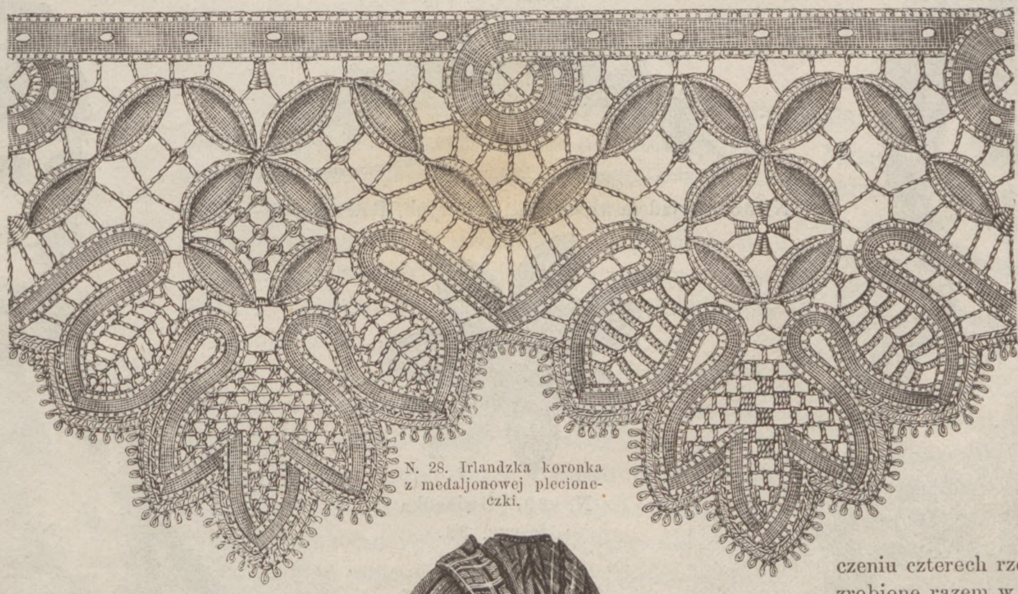
Podług formy puszczonego paletocika dla dziewczynki łatwo odrobić przedstawiony z przodu i z tyłu na ryc. 32—33. Długość przednia wynosi 31 cent., długość pleców 38 a obwód dolny 110 cent. Robota tła którego próbkę podaje ryc. 31, składa się z czterech rzędów powtarzających się ciągle. W 1 rzędzie 3 o. gł. razem, 1 o. gł. 1 oczko odwrotne 1 gł. w miejsce obracania roboty 2 rząd robić gładko 3-ci cały odwrotnie, 4-ty znów gładko. Na prawej stronie wszystkie wydawać się będą jednakowo. Ażeby deseń dobrze wypadał, potrzeba uważać aby po skończeniu czterech rzędów i przy zaczęciu piątego, 3 oczka zrobione razem w jedno wypadały nad o. zrobionemi razem poprzednio; o. gł. nad gł. a odwrotne nad odwrotnemi. Rycina 30 podaje próbkę oszycia do paletocika; inny wzór oszycia, robotą w ramach, przedstawia ryc. 16. Rękawy i kapturek robią się oddzielnie i przyszywają niewidocznie. Wykrój szyi objęty skosem jedwabnym.



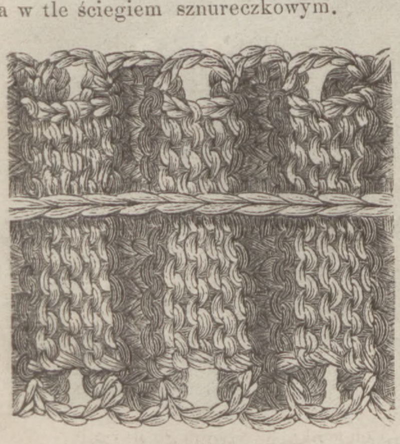
N. 25. Torebka na bieliznę. Wyszycie na kanwie Jawa. Patrz ryc 15—16 w N-rze 49.



N. 27. Czepeczek dla osób starszych.



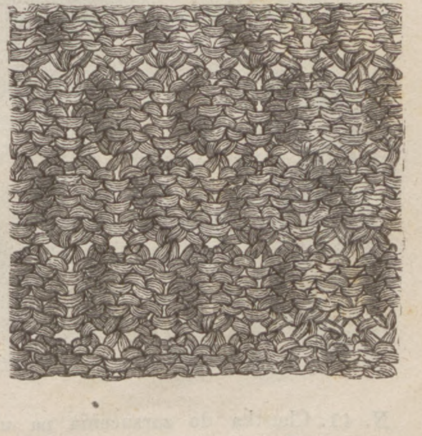
N. 28. Irlandzka koronka z medaljonowej plecioneczki.



N. 30. Oszycie do paletocika ryc. 32—33. Robota na drutach i szydełkiem.



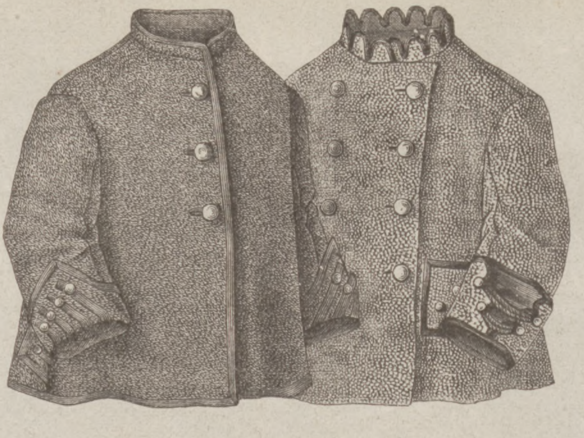
N. 29. Płaszczyk pelerynowy z kapturkiem.



N. 31. Tło do paletocika ryc. 32—33. Robota na drutach.



N. 32. Paletocik z kapturkiem dla małej dziewczynki. Plecy do ryc. 33. Patrz ryc. 30—31.



N. 34—35. Dwa kaftaniki dla dzieci.



N. 33. Paletocik z kapturkiem. Przód do ryc. 32. Robota na drutach. Patrz ryc. 30—31

N. 34—35. Dwa kaftaniki dla dzieci.

Kaftaniki takie z sukna lub syberyny dopasować można podług jakiejkolwiek puszczonej formy, z dawniejszych N-rów Tygodnika. Przybrania rękawów wskazane są dokładnie na ryc. 33 i 34. Do oszycia brzegów używa się taśma wełniana, jedwabna lub materyja cięta skośno.

N. 36—37. Chustka z tiulu i koronki.

Chusteczka z tiulu zwanego grenadynowym, obrąbiona z jednego długiego brzega na 5 cent. szerokości, z drugiego i z obydwóch poprzecznych stron wycieta w duże, płaskie zęby, wymaga kawałka 124 cent. długiego a 35 szerokiego. Zęby oszyte są dwa razy koronką, ozdobioną perełkami, której próbkę podaje ryc. 37. Chusteczka związuje się z przodu zostawiając wykrój podłużny lub fałdując na wykrój kwardatowy. Chusteczki takie stanowią bardzo modne dopełnienie ubrania i ładnie wyglądają przy wszystkich jasnych sukniach.

(dok. nast.)



N. 36. Chusteczka z tiulu i koronki wyszytej perełkami. Patrz. ryc. 37.



N. 41. Chustka do zarzucenia na ubranie wieczorowe. Patrz ryc. 19—21.



N. 38. Dyjadem z gwiazdek tiulowych. Patrz ryc. 39—40.



N. 39. Gwiazdka do ryc. 38.



N. 40. Środeczek do gwiazdki ry. 39.



N. 37. Koroneczka wyszyta perełkami do ryc. 36.



N. 42. Pelerynka do strojnego ubrania.